stanisław
Majewski

szlakiem zwycięstwa

B. Pierzowski

Gdynia 16/38,2
X

ZWIĄZKOWI LEGJONISTÓW POLSKICH
ODDZIAŁ W GDYNI
z okazji otwarcia legjonowego gniazda
garść wspomnień poświęca

AUTOR.

01285

SZLAKIEM ZWYCIĘSTWA

Zakł. Graf. i Introl. „Dźwignia" w Gdyni.

Prawa autorskie zastrzeżone.
Copyright
1932 by STANISŁAW MAJEWSKI
Gdynia, Poland.

01285

STANISŁAW MAJEWSKI

SZLAKIEM ZWYCIĘSTWA

GDYNIA
NAKŁADEM AUTORA
1932.

Historia

BIBLIOTEKA
PARAFIA PW. NSJ
RADOM-GLINICE

94(438) "1901-1939"

101

P1/2014

Przystępując do wydania niniejszej pracy, postawiłem sobie za zadanie uwypuklenie tych momentów historycznych, w których osobiście brałem czynny udział lub byłem świadkiem.

Powstanie państwa polskiego młode pokolenie nie docenia należycie, zaś cały szereg ludzi czy partyj politycznych, które w okresie walki czynnej były bierne lub jeśli wyraźnie nie szkodziły to w każdym bądź razie utrudniały pracę w związkach niepodległościowych, a postępując w myśl wskazówek, otrzymywanych od central swych grup palitycznych, uważały zarówno czyn legjonowy za szaleństwo, jak też wszystkie inne posunięcia ludzi Marszałka Józefa Piłsudskiego, jeśli nie za bezsensowne, to w najlepszym wypadku za nieudolne.

Tymczasem historja walki o niepodległość, począwszy od roku 1905, a skończywszy na wojnie polsko-bolszewickiej, jest dowodem niezbitym, że idea walki czynnej przez Legjony Polskie, akcję Polskiej Organizacji Wojskowej i wysiłki szlachetne jednostek i grup szczerych patrjotów, była jednem pasmem bohaterstwa.

Kierunek polityczny ludzi skupiających się koło osoby Marszałka Józefa Piłsudskiego był zdrowym, a hasła zawierały głęboką myśl złączenia wszystkich obywateli Rzeczypospolitej Polskiej na jednej platformie bez względu na różnice zapatrywań politycznych, klasowych, religijnych i innych byleby tylko realnie i z pożytkiem pracować dla Tej, która nie zginęła,

Któż wzbudził ten ogień boski w duszach bojowników o niepodległość i wszczepił w społeczeństwo wiarę w zwycięstwo?

Cudu tego dokonał Józef Piłsudski, Twórca Legjonów i Pierwszy Marszałek Polski, a Jego nieugięta wola, genjusz wodza, umiejętność przewidywania wypadków historycznych i przedziwna moc przykuwania do siebie prostych dusz żołnierskich zrodziły do Niego w społeczeństwie miłość i nieograniczone zaufanie.

Dlatego też wydając „Szlakiem Zwycięstwa" chciałem zaznaczyć, że zdobycie niepodległości Polski to kolosalny wysiłek ludzi, którzy rzucili wszystko na szalę, byleby zwyciężyć i pokazać światu, że naród nasz zdolny jest do samodzielnego bytu państwowego.

Młode pokolenie winno iść śladem tych bojowników, którzy dali świadectwo historyczne, że nie pustem słowem, ale czynem wiernie służyli Ojczyźnie.

AUTOR

1905 Rok.

Zima. Ojciec mój, człowiek słusznego wzrostu, przechadza się po pokoju i od czasu do czasu pomrukuje coś pod wąsem. Cisza w pokoju, jakby makiem zasiał, tylko matka krząta się koło wieczerzy, ja zaś z siostrzyczką Wandzią siedzimy półśpiąc koło pieca.

Na dworzu mróz skrzypi pod kołami wozów i dorożek, ciągnionych przez marne szkapy. Starsi bracia Władysław, Stefan i Kazimierz są w mieście.

Dziwny nastrój zapanował w naszym domu. Tak jakoś tęskno na duszy... Wandzia zasnęła. Po chwili ojciec zwraca się do matki i mówi:

— Antosiu, powiedz mi gdzie są chłopcy?

— Wyszli do miasta, ale nie wiem kiedy wrócą— odpowiedziała matka.

— Źle — rzekł ojciec — czasy są niespokojne. Krążą pogłoski, że w tych dniach przybywa nowa sotnia Czerkiesów do Radomia i mają nastąpić liczne aresztowania. Boję się by naszym chłopakom nie stało się co złego.

Podano kolację. Matka Wandzię położyła do łóżeczka, ja zaś ledwie trzymając się na nogach, bo sen kleił mi powieki, chciałem za wszelką cenę doczekać się przybycia mych braci i usłyszeć nowin z miasta.

Nastrój od dłuższego czasu był denerwujący. Ludzie opowiadali pocichu o Moskalach, rewolucji,

wojnie japońskiej. Tajemniczość ta podsycała moją ciekawość i nie dawałami spokoju.

Tego wieczora ojciec był zmartwiony i na pytania odpowiadał lakonicznie, nie przejawiając zbytniej ochoty, mimo usilnych starań matki, do rozmowy. Na czole tego starego żołnierza coś, jakby chmura zawisła i obserwując ojca byłem przekonany że ma wielkie zmartwienie.

Dochodziła godzina dziesiąta. Bracia jeden za drugim ściągali do domu. Ojciec kazał mi iść spać, sam zaś zaczął rozmawiać o wypadkach zaszłych w mieście.

Skupiłem całą uwagę i choć ściana dzieliła mnie od rozmawiających, słowa wyraźnie dochodziły do uszu. W miarę opowiadania braci w mojej dziecinnej głowie zaczęły kształtować się obrazy straszne.. Oto oddziały rosyjskiej piechoty strzelają do bezbronnych Polaków i krew leje się strumieniami. Ulica Lubelska zasłana trupami.

Grupy młodzieży niepodległościowej z niezłomnem postanowieniem jęły się rzeczy wielkiej, bo wywalczenia niepodległości Polski.

W miarę opowiadania braci coraz większy zaczął mnie ogarniać zapał. Sen całkowicie uleciał z powiek i przemieniłem się w słuch.

— Szkoda krwi słyszę głos matki i czuję, jak łzy cieką po jej policzkach.

Rozmowa toczy się dalej głosem przyciszonym, ale mój wyostrzony słuch chwyta każde słowo.

Ojciec nie z jednego pieca chleb jadał i mając zdrowy rozum, pesymistycznie zapatrywał się na zapał młodzieży, nie zabijając go zalecał jednak ostrożność postępowania i zwracał uwagę na możliwość „wsypy“ ze strony ludzi słabych.

Godziny mijały. Wsłuchany w rozmowę pomału zaczynałem snuć fantazje dziecka i budować „zamki na lodzie“.

Ciepło łóżka coraz bardziej zaczęło mnie nęcić i po upływie krótkiej chwili zasnąłem.

Śniły mi się przeróżne historje: to pędząc na czele szwadronu ułanów ścigałem uciekających Moskali, to znów broniłem zaciekle starych murów zamczyska z garstką żołnierzy polskich w przedziwnych mundurach, które jednak w kilkanaście lat później ujrzałem w rzeczywistości.

Sen ten do dziś dnia jest dla mnie zagadką, a jednak muszę stwierdzić, że był przyczyną późniejszej mojej karjery wojskowej.

Niespodzianka Nocy.

Wśród zimy roku 1905 krążyły wieści, podawane z ust do ust, półszeptem o mających się odbyć wielkich wydarzeniach politycznych.

Opowiadano przedziwne historje o aresztowaniach, zabójstwach i okropnościach, jakich dopuszczali się Moskale nad więźniami politycznymi.

Tymczasem wojna rosyjsko-japońska trwała nadal. Wiadomości które nadchodziły z placu boju, podsycały nastroje rewolucyjne, a działacze ruchu niepodległościowego, choć rozbici na szereg stronnictw, nie przestawali pracować.

To tu, to tam zastrzelono jakiegoś „kacapa" lub szpicla. Więzienia były przepełnione, a całe transporty patrjotów szły pod eskortą kozaków na Sybir...

Budzenie się ruchu wolnościowego postępowało z zadziwiającą szybkością i u najzapalniejszych wiara w poczynania przywódców z każdym niemal dniem rosła.

Co ostudzało ogólny zapał, to chyba rozbicie jednolitego frontu polskiego przez poszczególne grupy polityczne.

Na terenie Radomia jednostki dokonywały cudów waleczności i świeciły przykładem dla mniej uświadomionych.

W pamięci utkwił mi obraz, kiedy pewnego dnia

bojowiec PPS Włoskowicz, późniejszy kapitan wojsk polskich i wicewojewoda lubelski, rzuca bombę na „czarnego prystawa", zabijając go na miejscu.

„Czarny prystaw", znienawidzony służalec Moskwy zasłużył sobie na podobną śmierć i czyn Włoskowicza wywołał olbrzymie poruszenie wśród młodzieży niepodległościowej, zachęcając ją do wytrwałej walki o wolność i niepodległość.

Do dziś dnia opowiadanie o „czarnym prystawie" ożywia radomiaków i rozwiązuje język bardziej, niż „czysta".

Rok 1905 — to rok walki z przemagającemi siłami wroga i budzenia się myśli niepodległościowej po długich latach niepowodzeń i krwawych zmagań z ciemiężcą moskiewskim, to znak niespożytych sił narodu polskiego, dążącego do zdobycia niepodległości kosztem bodaj największych ofiar.

Nie pomogły masowe wysyłania potrjotów na bezkresne pustynie Sybiru, skazywania na śmierć i więzienia, bo naród polski przez wszystkie pokolenia nigdy nie wyrzekł się swej niepodległości, choć musiał ulec przemocy trzech potężnych wrogów.

Wychowałem się w atmosferze walki o Polskę i dążenie do zdobycia niepodległości jeszcze silniej rozbudziło się w mej młodzieńczej duszy, kiedy pewnej nocy do drzwi naszego domu ktoś mocno zapukał.

Tej nocy nigdy nie zapomnę, choć była taka, zdawałoby się, jak wszystkie zimowe noce polskie.

Położyłem się wcześniej niż zazwyczaj spać w dziwnym nastroju, jakby przeczuwajac, że noc ta będzie pełna niespodzianek. Na dobitkę złego młodsza moja siostrzyczka Wandzia zachorowała na ospę i z tego powodu zapanował w całym domu smutek.

Między pierwszą a drugą po północy przebudziło

mnie mocne kołatanie do drzwi i słyszę, jak ojciec wstaje i znanym a miłym dla mnie głosem zapytuje: „Kto tam?...“

W odpowiedzi, zdawało mi się, że słyszę syk węża i do uszu dobiegają słowa, wyrzeczone po rosyjsku: otwierać... policja...

Nie upłynęło i pół minuty, kiedy do pokoju sypialnego wkroczyła czereda ludzi z długiemi brodami, w wysokich „papachach“ i uzbrojonych od stóp do głów.

Zaczęto przeprowadzać rewizję. Nie pozwolono nikomu ruszyć się z miejsca. Z całą wschodnią wściekłością wywracano wszystko do góry nogami i po upływie kilku godzin znaleziono rewolwer w szafie mego brata Stefana. Jak dziś pamiętam, że kiedy matka chciała narzucić na siebie nakrycie to o mało Czerkies nie przebił ojca kindżałem za to, że chciał dopomóc ubrać się matce.

Całą uwagę skupiłem na to co się w tej chwili działo w domu. Nie odczuwałem ani odrobiny strachu tylko obudziła się we mnie zaciętość i nie mogło mi się w głowie pomieścić, że ci żołnierze cara moskiewskiego są tacy brutalni w stosunku do kobiety... do mojej matki.

Na twarzy ojca widzę smutek i przygnębienie, matka cicho roni łzy.

Nagle spostrzegam, że Stefan coś kładzie do ust i połyka. W tym momencie był blady, ale nie widziałem na jego twarzy strachu i byłem dumny że się nie boi dzikich żołdaków.

Rewizja dobiegała do końca i kazano się bratu ubierać. Światło lampy naftowej rzuca słabe promienie na ludzi i przedmioty i w tej właśnie chwili żal okropny przejął mnie nawskroś.

Pomału zaczynałem rozumieć, że znalezienie rewolweru może spowodować aresztowanie brata i kto wie jakie z tego mogą wyniknąć skutki.

Rozmyślania te przerwał jakiś Czerkies, który bez żadnych ceremonij podszedł do mnie i zaczął mnie rewidować. Nie oszczędzono i mnie, choć byłem małym chłopięciem...

Dom pełen żołdaków. Przez otwarte drzwi dolatuje przykre zimno i łechcze niemile ciało, dziwny zapach, charakteryzujący obecność rosyjskich żołnierzy drażni powonienie.

Rozdzierający krzyk... Matka zemdlała, widząc, jak Stefana porwała za sobą horda moskiewska.

Serce mam przepełnione żalem, zaciętość rośnie i zaczynam prawdziwie nienawidzieć tych ludzi, którzy zakłócili spokój naszego domu i zabrali brata...

Padają ostre słowa komendy, słychać tupot kopyt końskich po bruku i nastaje przygnębiająca cisza, tylko od czasu do czasu dolatuje do mych uszu głębokie westchnienia i cichy szloch matki...

Serce matczyne wyczuło, że pokolei Moskale będą zabierali jej dzieci za to, że są wiernymi synami Polski.

Wywożą ich na Sibir.

Stefan i Kazik zostali osadzeni w więzieniu i po przeprowadzeniu śledztwa ma odbyć się sąd, a później śmierć lub Sibir...

Matka całemi dniami płacze. Ojciec spochmurniał i od czasu do czasu „zakrapia". Smutek zapanował w domu i po stracie naszych kochanych chłopców wszyscy nosimy żałobę.

Ojciec często wyjeżdża do Warszawy i stara się złagodzić nastawienie władz rosyjskich i używa różnych sposobów, aby ocalić swych chłopców.

Mimo zabiegów i wysiłków ze strony ojca, pewnego dnia nadeszła wiadomość, że Stefan i Kazik zostaną wywiezieni z cytadeli warszawskiej.

Biedne dzieci... Co z nimi zrobią?

Chodzę z ojcem i matką pod więzienie na ulicy Warszawskiej, gdzie po wielkich trudach udaje się nam dostarczyć dla naszych bliskich żywność.

Dzień odjazdu się zbliża..

Na dworcu kolejowym oczekujemy karetki więziennej. Zimno. Brrr...

Po długich chwilach oczekiwania nagle, jak z pod ziemi ukazuje się naszym oczom kozactwo na małych karych konikach i pędzi co sił starczy w kierunku dworca. W środku otoczona ze wszystkich stron sunie karetka więzienna.

Naszych wywożą — słychać szept wokoło. Zatrzymali się. Dzikie kozactwo wywija, buńczucznie szablami, otoczywszy kołem karetkę, z której wychodzą więźniowie polityczni, pokuci w ciężkie kajdany.

Publiczność polska tłoczy się, a każdy szuka krewnych i znajomych.

Żandarmerja toruje drogę i robi się koło mnie niemożliwy do wytrzymania tłok. Nic nie mogę ujrzeć, gdyż przedemną stoją starsi i słyszę tylko brzęk kajdan.

Podano wagon i kilkunastu bojowników o wolność osadzono w ich tymczasowem więzieniu, by w niedalekiej przysyszłości oddać tych ludzi, co Polskę kochali potęgą swej młodzieńczej duszy, w ręce kata...

Lokomotywa daje sygnał odjazdu i obcy najeźdźca siłą brutalną wywiózł naszych najdroższych. Wróciłem do domu. Nastrój, jak po pogrzebie.

Przychodzą znajomi i opowiadają nowiny z miasta i jeszcze bardziej ranią mi serce.

W duszy rodzi się bunt... Ach jakbym pragnął pomścić mych braci.

Po kilku miesiącach pobytu w więzieniu Stefan został zesłany do gubernji tobolskiej Kazik, zaś do tomskiej.

Za przykładem swych przodków poszli ci młodzi chłopcy na wygnanie, by zdala od Ojczyzny, rodziny, i znajomych cierpieć za sprawę Polski, którą głęboko ukochali.

BIBLIOTEKA
PARAFIA PW. NSJ
RADOM-GLINICE
101

Pierwsze wiadomości.

Płyną miesiące w smutku i niema rodziny, gdzieby nie zabrakło któregoś z członków, bądź porwanego przez siepaczy moskiewskich, bądź poległego od kul wrażych.

Walka nie ustaje, a nowe zastępy młodzieży coraz mocniej występują na arenie życia politycznego i dążność do zdobycia niepodległości zamiast słabnąć wzrasta.

„Nasi" wykradli więźniów z „Pawiaka"

Wiadomość ta przedostaje się do wszystkich nieomal domów polskich, wzbudzając radość z tego powodu, że znaleźli się ludzie czynu i odwagi i wyprowadzili swych przyjaciół z za krat więziennych.

Na ulicach ukazują się odezwy, wzywające do występowania przeciw władzom moskiewskim, a gęste patrole kozaków coraz częściej ukazują się, rozpędzając spokojnych obywateli batogami.

Od czasu do czasu słychać strzały...To bojówki nasze są przy robocie.

Tak płynie dzień za dniem, a wiadomości z Sibiru nie nadchodzą.

Pewnego dnia siedziałem w pokoju, czytając „Potop" Sienkiewicza, kiedy przez okno zobaczyłem listonosza, zmierzającego w stronę naszego domu.

Po chwili ku mej radości listonosz wręczył mi list... z Sibiru

Ojciec nie pozwolił odejść listonoszowi i uraczył go prawdziwie po królewsku.

List zawierał pocieszające wiadomości, które dawały nadzieję, że przecież ujrzymy tych, których uważaliśmy za straconych.

Co to była za radość!

— — — — — — — — — — — — — — — —

Walka zaczęta w roku 1905 na terenie Radomia przeciągnęła się prawie do 1907 i mimo starań władz rosyjskich, aby zabić ducha polskości i zgnębić ruch wolnościowy. zapadła się w podziemia, by przy najbliższej sposobności wybuchnąć z całą siłą.

W szkole.

Rząd moskiewski starał się wszelkiemi siłami zgnębić szkolnictwo polskie, wprowadzając w szkołach język wykładowy rosyjski.

Rozbudzony ruch niepodległościowy w okresie rewolucji w dużej mierze przyczynił się do podniesienia ducha wśród społeczeństwa polskiego, a kolportowanie „bibuły" z zagranicy w tych czasach doszło do niebywałych rozmiarów.

W związku z tem zaczęto bardziej uważać na wieś polską, gdzie brak oświaty najbardziej odczuwano.

Nauczyciele — Polacy, księża i młodzież niepodległościowa z narażeniem utraty wolności osobistej musieli spełniać to wielkie posłannictwo, aby pielęgnować język ojczysty i własną kulturę polską.

Moskale nie przebierali w środkach i każdego, którego złapali na gorącym uczynku szerzenia oświaty w języku polskim — zsyłali na Sibir lub zamykali w więzieniach.

Dziś młodzież nasza nie rozumie tego jak z utęsknieniem czekało się na przybycie nauczyciela — Polaka, jak słodko i dźwięcznie brzmiał w duszy każdego dziecka wówczas język polski.

Toczyła się walka zacięta o duszę polską.

Musimy z dumą powiedzieć, że choć Moskale używali różnych sposobów, by zabić ducha polskiego

jednak, to im się nie udało, gdyż napotkali zdecydowany opór ze strony wszystkich warstw społeczeństwa polskiego.

Czas się zbliżał, aby mnie posłać do szkoły. Ojciec sprawił mi ładny czarny mundurek i pewnego dnia poszedł ze mną i zapisał mnie do szkoły powszechnej, zwanej „Akademją na Wale".

Niedługo tam zabawiłem, ale szkoła ta pozostawiła w mej pamięci wspomnienia bardzo miłe, gdyż zespół nauczycieli był złożony z samych Polaków.

W kilkanaście lat później spotykałem mych rówieśników, mówiąc nawiasem, wszystkich na stanowiskach i jak się przekonałem dobrych obywateli naszego Państwa.

Jeden zwłaszcza obrazek z mych przeżyć w „Akagemji na Wale" wywarł na mnie głębokie wrażenie.

Nadszedł dzień imienin cara Mikołaja II. Dzień ten z rozkazu rządu rosyjskiego należało uczcić uroczyście w szkołach. „Galówka" zapowiadała się na wielką skalę. Przystrojono sale zielenią i zapowiedziane było przybycie wyższych dygnitarzy ze świata urzędniczego.

Zebrano nas w szkole i kazano odświętnie się ubrać.

Z okazji tej miano nawet rozdawać podarunki dla dzieci w formie torebek z łakociami.

W pewnej chwili w sali zapanowała cisza i na znak nauczyciela wszystkie dzieci powstały. Do sali weszli dygnitarze rosyjscy i jeden z nich zaczął do nas przemawiać.

Po przemówieniu kilka pań rosyjskich i dwóch wyższych urzędników rzeczywiście zaczęli wręczać dzieciom podarunki.

Wodzę oczyma za dygnitarzami i widzę, jak jeden z nich podchodz do najmłodszego z nas i chce wręczyć mu torebkę z łakociami.

Dziecko wybladłe, mizerne cofa się i rzecze: „Panie, nie chcę waszych cukierków, wróćcie mi tatusia, bo on biedny marznie na Syberji."

Zapanowała dziwna konsternacja, ja zaś nie czekając na podarunek od Moskala z niepohamowanym wstrętem opuściłem salę.

Smutne i wesołe.

Życie podczas rewolucji w roku 1905 było przepełnione różnego rodzaju kłopotami.

Z jednej strony Moskale przy pomocy swych szpiegów zatruwali spokojnym mieszkańcom życie, powodując ciągłe rewizje i szykany, z drugiej zaś wojna japońska i walka naszej dzielnej młodzieży z potężnym wrogiem — Moskalem, wyrywała rodzinom najbliższych, okrywając żałobą prawie każdy dom polski.

Smutek zapanował i nim zabliźniły się rany upłynęło wiele czasu.

Jednak muszę podkreślić, że nie brakło w tym czasie także i chwil wesołych, choć były one jakby przebłyskami, jakby czemś obcem.

Dziś, kiedy wszystkie okropności przeszły, kiedy mamy wolność i niepodległość i tą błogą nadzieję, że przed Polską ściele się piękna przyszłość, dziś możemy poruszyć garść wspomnień, które się cisną do głowy.

Był zimny dzień, kiedy wyszedłem do miasta, a na ulicy rzadko kto się pokazywał, gdyż rozzuchwalone kozactwo dopuszczało się formalnie rabunków.

Idąc w zamyśleniu udałem się ulicami Długą, Lubelską w stronę Rynku.

Radom, jakby wymarł.

Tylko patrole piesze i konne pojawiają się często, robiąc na mnie przykre wrażenie.

Nie dochodząc do Rynku, spostrzegłem grupkę ludzi około piętnastu osób, gdzie większość stanowili Żydzi.

Ludzie ci coś żywo rozprawiali, gdy wtem na skraju ulicy Rwańskiej ukazał się patrol i popędził galopem, rozpędzając nahajkami rozmawiających.

Przytuliwszy się do ściany obserwowałem co z tego wyniknie, gdy do uszu dobiegł mnie okrzyk: „Precz z caratem".

Za chwilę ulica opustoszała, a łupem kozuniów stał się mizerny Żydowina, którego przez cały czas kozacy okładali nahajkami.

Chyłkiem wycofałem się z poprzedniego mego schroniska, i znając doskonale teren, dowlokłem się do domu.

Ucichły rozruchy.

Wypadek ten byłby przeszedł bez echa, gdyby nie złośliwość ludzka.

Kiedy opowiedziałem ojcu o wspomnianych wypadkach tego dnia, otrzymałem słuszną naganę za to że niepotrzebnie włóczę się po mieście i mogę oberwać jeszcze nahajką lub może stać mi się coś gorszego.

W kilka dni przychodzi do nas znajomy ojca i opowiada ten sam wypadek, dając ze swej strony zakończenie.

Otóż według opowiadania p. Z., kiedy Żydka zaprowadzono do komisarjatu i po upływie dwuch dni zaczęło się dochodzenie, to ów Żydek bardzo sprytnie wywiązał się z kłopotliwego położenia, kiedy go sędzia śledczy zapytał, czy prawdą jest, że krzyczał: „Precz z caratem".

Szanowny panie — odpowiada Żydzisko — prawda ja krzyczałem, ale precz „z caratą" a nie z caratem*).

Czy to prawda, dotychczas nie zdołałem stwierdzić, jednok opowiadania tego rodzaju można dziś jeszcze usłyszeć z ust starych radomiaków.

---

*) Gra słów: cereta i carat.

Przed więzieniem.

Niepodległość Polski została zdobyta wysiłkiem, który naród polski musiał z siebie wydobyć i przez kazamaty, Sibir i krew najlepszych synów Ojczyzny dojść do tego stanu rzeczy, jak jest obecnie.

Ile to cierpień niosły nam czasy władania moskiewskich, niemieckich i austryjackich satrapów.

Przed więzieniami musiano wyczekiwać, aby móc dostarczyć swym blizkim pożywienia, bo w tych czasach walki o niepodległość Polski, karmienie więźniów było niżej wszelkiej krytyki.

Poszedłem pewnego razu pod więzienie na Warszawskiej i stanąłem w kolejce, trzymając w ręku koszyk z żywnością dla mych braci.

Tu i owdzie toczy się rozmowa, ale taka cicha jakby ci wszyscy ludzie byli bardzo chorzy lub obawiali się własnego cienia.

Co pewien czas otwierają sią drzwi i ktoś z rodziny lub przyjaznych ludzi podaje więźniowi politycznemu zawiniątko z żywnością.

Ucieszony, że spełnił obowiązek, staje na uboczu i czeka czy innych spotka ten sam szczęśliwy los, że będą mogli dostarczyć najniezbędniejszych środków skazańcom za sprawę polską.

Nim posiłek dostał się do więzienia musiał przejść przez cały szereg rąk „kontrolujących" i częstokroć dochodziły tylko resztki zawartości pakunków.

Czekając na swoją kolejkę łapie każde słowo rozmów tych ludzi, którzy są mi tak samo blizcy, gdyż cierpią jak ja.

Jakaś kobiecina około sześćdziesięciu lat z pod Białobrzega staje na końcu i co chwilę ręką spracowaną obciera pot z czoła i łzy cisnące się do oczu.

Panie z towarzystwa łamią nagle kolejkę i widząc, że starsza kobieta jest wyczerpana z sił, ustępują jej miejsca, zapytując o powody takiej boleści i rozpaczy, jaką widać na twarzy stroskanej staruszki.

Snuje się opowieść smutna, rzewna o jej Janku, co to znalazł po dziadu karabelę i jak on — dziadek, walczący za sprawę polską pod dowództwem Langiewicza, tak ten chłopaczysko porwał się na znienawidzonego Moskala, kiedy kozunie wpadli do wsi i bili ludność...

Wyrżnął w „gębę" co się zowie, ale biedaka wsadzili do „kozy" i mają podobno wysłać hen daleko, na Sibir...

Tyle było boleści w opowiadaniu tej kobieciny i tyle patrjotyzmu biło z jej słów, że stałem zdumiony, jak ta kobieta z ludu musi kochać Polskę.

Doczekałem się tej chwili, że mogłem naszym chłopcom podać posiłek i pośpieszyłem do domu, gdzie opowiedziałem o fakcie, który opisałem.

Ojciec, słysząc, jak gładko opowiadam przepowiadał mi przyszłość świetną, że będę wielkim człowiekiem, jeśli będę pracował dalej, nad sobą, bo Polsce potrzeba ludzi mądrych i światłych.

Biedny staruszek nie przewidział jednego, że krew ma swe prawo, że i ja, wychowany w atmosferze walki o niepodległość, będę musiał tak, jak moi poprzednicy przejść drogę ciężką, nim powiem sobie, że teraz mogę pracować dla siebie.

Obowiązek służenia ojczyźnie wziął górę nad egoistycznymi planami i poszedłem starą ścieżką pracować dla chwały i potęgi Polski.

Związek Młodzieży Niepodległościowej w Radomiu.

Była nas grupka nieliczna i dobrze zakonspirowana, gotowa do największych ofiar, byleby tylko przyczynić się do wywalczenia niepodległości.

Janiszewski, Ptasiński, Badowski, Niemirski, ja i jeszcze kilku ludzi przejawialiśmy pewną ruchliwość, bądź kolportując „bibułę", bądź prowadząc destrukcyjną robotę, uniemożliwiając Moskalom takie czy inne poczynania.

„Bibuła", która nadchodziła z za kordonu podsycała nasze umysły i tak już nastawione w kierunku walki o niepodległość i wywierała na młode dusze olbrzymie wrażenie, popychając do czynu.

W tym okresie Rosjanie zdawali sobie dokładnie sprawę z niebezpieczeństwa stworzenia przez Komendanta Piłsudskiego Legjonów i choć Narodowa Demokracja ciągle nisko kłaniała się różnym moskiewskim dygnitarzom, choć starała się wpoić przekonanie w społeczeństwo, że ruch legjonowy to szaleństwo, młodzież niepodległościowa nie dała się zwieść na manowce i duszą całą była z Komendantem i Legjonami.

Moskale ścigali w niezwykły sposób niepodległościowców, ale byliśmy tak zakonspirowani i tak zgrani wewnątrz, że nie udało się im nas wykryć.

Praca szła zwykłym trybem szkoliliśmy się

w zawodzie żołnierskim studjując regulaminy i przechodząc wyszkolenie strzeleckie, by być gotowymi na rozkaz Komendanta, a chwila ta miała wkrótce nastąpić...

Ile zapału, ile ognia wkładało się w prace nad wyszkoleniem, a z jaką ochotą czekało się na zebranie...

Głośno słychać już było, że Moskale chcą, jako antidotum na tworzenie się Legjonów Piłsudskiego, stworzyć z Polaków siłę zbrojną, któraby walczyła za Rosję przeciw Komendantowi.

Ukazanie się odezwy W. ks. Mikołaja Mikołajewicza utwierdziło nas w przekonaniu, że Moskale zaczynają zmieniać front...

Postanowiliśmy za wszelką cenę przeszkodzić tej akcji i z chwilą ukazania się na ulicach miasta Radomia odezw, mieliśmy je zrywać i prowadzić propagandę na rzecz Legjonów Piłsudskiego...

Podzieleni na grupki udaliśmy się wczesnym rankiem, mimo silnie rozstawionych posterunków policyjnych, udało się nam zniszczyć rozlepione już odezwy w najbardziej ruchliwych miejscach miasta.

Wprawdzie na „Rajtszuli" (obecnie plac Jagielloński) spłoszył nas posterunkowy i ścigał dość długo i byłby nas schwytał, gdybyśmy nie rozdzielili naszej grupki i nie rozbiegli się w różnych kierunkach.

Akcja Związku Młodzieży Niepodległościowej zaczęła niepokoić władze rosyjskie, które dokładały wysiłków i puszczały w ruch cały sztab szpicli i dlatego musieliśmy często zmieniać lokal, raz mając na Rajtszuli, to znów na długiej lub koło Miejskiej Elektrowni, a na ostatku musieliśmy przenieść się na Piaski.

Przez Radom zaczęły przeciągać armje austryjacko-niemiecka i rosyjska zależnie od sytuacji bojowej.

Naprężenie umysłów wśród młodzieży niepodległościowej dochodziło do punktu kulminacyjnego, gdyż każdy chciał bić Moskali otwarcie z bronią w ręku pod rozkazami Komendanta.

Radom przechodził z rąk do rąk i od czasu do czasu staczane były bitwy, które hartowały ducha naszej młodzieży niepodległościowej i pchało coś człowieka, by pomóc naszym strzelcom w walce ze znienawidzonym Moskalem.

Literatura niepodległościowa nadchodziła teraz łatwiej i kolportaż jej był lżejszy, można więc było zdecydować się na czyn męski i w grupce kilku ludzi wstąpić do Legjonów, co też uczyniliśmy w dniu 1 maja 1915 roku. Ja, Badowski Feliks i Marjan Janiszewski ruszyliśmy na Wołyń, by wstąpić do tej brygady na czele której stał Komendant Piłsudski.

Otrzymałem przydział do VI baonu majora Pleszera, 3 kompanji Lisa-Kuli Leopolda...

Marzenia się ziściły...

Ubrany w skromny mundur legjonisty, uzbrojony od stóp do głów, czułem się mimo ciężkiego życia żołnierskiego, bardzo szczęśliwy, że wypadł mi zaszczyt bić się za Polskę.

VI Baon I Brygady.

Cały bataljon składał się przeważnie z rzeszowiaków, chłopców bardzo inteligentnych i ideowych, którzy przywitali nas serdecznie, choć traktowali nieco z góry, jako nowicjuszów w zawodzie żołnierskim.

Odrazu przypadłem im do serca, gdyż trzeba przyznać byli służbistami co się zowie, a widząc mój zapał i chęć doskonalenia się w ciężkiej służbie żołnierskiej, w pogawędkach koleżeńskich udzielali mi rad i wskazówek o zachowaniu się w polu.

Korzystałem przy każdej okazji z rad moich towarzyszy broni, a przyznam szczerze, że przydały mi się, gdyż teoretyczne wiadomości, jakie nabyłem w Związku Młodzieży Niepodległościowej wobec praktyki okazały się szczupłemi i niewystarczającemi aby być wzorowym żołnierzem.

To też z każdej bitwy wysnuwałem wnioski i gorąco dyskutowałem na temat służby w polu.

Po otrzymaniu chrztu bojowego zyskałem sympatję starej wiary i już uchodziłem za „swego" wraz z Badomskim i Janiszewskim, którzy starali się trzymać „fason".

W czasie walk I Brygady na Wołyniu przybyła II brygada Legjonów, uzbrojona w karabiny greckie i wyekwipowana na wzór armji austryjackiej a tu i owdzie, spotykałem nowoutworzony 6 pułk piechoty legjonowej w rogatywkach.

„Biskupy" (tak nazywaliśmy szustaków i czwartaków z powodu noszenia wysokich rogatywek) nie byli tak zgrani, jak żołnierze I brygady i stosunki pozasłużbowe w II i III brygadzie były gorsze, niż u nas.

Nie było żołnierza w I brygadzie, któryby nie był dumny ze swego przydziału...

W walkach żołnierze I brygady rywalizowali między sobą o pierwszeństwo i liczne przykłady bohaterstwa świadczyć mogą o nastroju, jaki wówczas panował w szeregach Legjonów Piłsudskiego.

Baon VI był dla mnie nową, kochaną rodziną, gdzie w służbie panował rygor wojskowy i żelazna dyscyplina, poza służbą serdeczny stosunek koleżeński starszych kolegów i wiekiem i służbą do młodszych.

W krwawych bitwach, które wyrywały najdzielniejszych i najlepszych synów Ojczyzny zrodziło się ukochanie broni, kolegów i głęboka miłość do Komendanta.

Kiedy podczas postoju porównywałem naszą małą armję z armją austryjacką, znalazłem taką różnicę, że duma we mnie mało mi piersi nie rozsadziła!

Nie przedstawiała w mojem pojęciu nawet armja niemiecka tak wartościowego i ideowego materjału żołnierskiego, jak Legjony...

Minęły krwawe bitwy pod Kuklami, Kamieniuchą, Wołczynem, Sobieszczycami i mimo wyczerpania i ciągłych marszów legjoniści zyskali sobie coraz to większe uznanie, a brawura ich podczas walk miała ustaloną już sławę nawet u wrogów.

Stworzenie Legjonów — to czyn, na który mógł się zdobyć tylko Komendant, który przewidział, że w pewnym czasie trzeba będzie Polsce dać zdolnych

i zahartowanych na polach bitew instruktorów, wychowanych w duchu walki o niepodległość Polski.

Sympatyczna postać dowódcy baonu VI Fleszera jego umiejętność dowodzenia i dzielność Lisa-Kuli Leopolda była mi później wzorem tych cnót żołnierskich, jakie winien posiadać dowódca jednostki bojowej w polu.

Doświadczenie nabyte w I brygadzie posłużyło mi w dalszej pracy w Wojsku Polskiem i jeśli soptkałem, jakie trudności w rozwiązaniu takiego czy innego zagadnienia, odwoływałem się do pamięci i przebytych bojów, a wtedy łatwo mi było wyjść częstokroć z kłopotliwych sytuacji, jakie nieraz bywają na froncie.

Ożywczy powiew.

W tym czasie, kiedy Legjony polskie krwawiły się i oznajmiły światu, że długoletnia niewola nie zabiła ducha niepodległościowego, że naród porwany czynem „szaleńców" nie poprzestanie tylko na obietnicach, ale nieubłaganą stoczy walkę o byt niezależny, zawrzało w całym kraju.

Tu i owdzie zaczęły się tworzyć grupy ludzi o różnem nastawieniu politycznem, prowadząc między sobą zaciętą walkę.

Stan taki byłby zgubny dla Polski, gdyby Komendant nie przewidział skutków i nie poczynił odpowiednich środków zaradczych.

To też wypadki polityczne zaczęły postępować po sobie z błyskawiczną wprost szybkością, odbijając się głośnem echem w całym kraju i budząc społeczeństwo polskie, zmuszając go do myślenia i interesowania się sprawami, dotyczącemi ruchu niepodległościowego — wyzwolenia Ojczyzny z kajdan niewoli.

Narodowa Demokracja, choć w dalszym ciągu liczyła na pomoc obcych, jednak już zwątpiła w to, że wyzwolenie Polski może nastąpić w myśl obietnic wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza.

Przyczyny tego zwątpienia Narodowej Demokracji należy doszukiwać się w tem, że w Rosji zaczęło się coś psuć, gdyż Niemcy i Austryjacy posunęli się hen, aż nad Czarne Morze.

Mimo sukcesów Niemiec i Austrji jeden był człowiek, który widział na szachownicy dziejowej te wypadki, jakie w najbliższej przyszłości miały się rozegrać. Józef Piłsudski świadomie i pewnym krokiem zmierzał do celu.

Niemcy i Austryjacy z niepokojem patrzyli na wszelkie poczynania Komendanta i prędzej czy później musiała nastąpić rozgrywka, gdyż wpływy Józefa Piłsudskiego wzrastały z każdym dniem.

Legjony zdobyły sławę, wprowadzając w podziw wrogów, którzy od Zbrucza, aż po Dynaburg na cześć bohaterstwa żołnierza polskiego wznieśli okrzyk: „hoh polnische Legionen"...

Był to wzruszający moment... Niemcy i Austryjacy uznali, że Polak umie się bić i zwyciężać, ale pragnęli uczynić z Legjonów Polskich narzędzie dla swych zaborczych planów, gdy tymczasem legjoniści szli przez krwawe bitwy, hartując ducha, zdobywając doświadczenie i sztukę wojowania do celu, kierowani przez Komendanta Józefa Piłsudskiego.

Żołnierz bez wolnej Ojczyzny zbierał laury zwycięstwa...

I gdyby ktoś zajrzał do serc legjonistów i gdyby mógł odczuć, co się w duszach ich działo — ten pojąłby bezbrzeżną tęsknotę serc żołnierskich do wolnej Ojczyzny.

Kto przeżywał te chwile, ten nigdy nie zapomni myśli szalonych, co szarpały duszę i rodziły zwątpienia..

Ale Komendant czuwał. Ani buta niemiecka, ani podstępna polityka austryjacka nie zdołały wstrzymać żywiołowego parcia naprzód wiary legjonowej i nie zabiły ducha tych ludzi, którzy stanęli wraz z Komendantem do walki o Polskę.

Kadry Piłsudczyków rosły, a Polska Organizacja

Wojskowa — dziecko czynu legjonowego krzewiła w terenie ideę Legjonów i szykowała nowe zastępy bojowników.

Czuć było gdzieś w ukryciu tajemną siłę, coś, co narazie nazywa się n i e w i a d o m ę m dla wrogów, a jest tak bliskiem dla swoich... Tylko wtajemniczeni wiedzieli, że Komendant tworzy rezerwy, by je rzucić na wroga w odpowiedniej chwili,

Manifestacja.

Był pogodny dzień, gdy nadeszła do Radomia wiadomość o aresztowaniu Komendanta Józefa Piłsudskiego w Warszawie.

Wiadomość ta lotem błyskawicy obiegła całe miasto i poruszyła do głębi tych wszystkich, którym osoba Komendanta była wzorem cnót rycerskich i uosobieniem wytrwałości w walce o niepodległość Polski.

W pierwszym rzędzie wylegli na ulicę b. legjoniści, następnie peowiacy, później członkowie PPS, a tu i tam zaczęły się gawędy na temat uwięzienia. Nastrój z każdą chwilą udzielał się nawet ludziom dalekim od tych ideałów, jakie wszczepił siłą woli w szeregi legjonistów i peowiaków Komendant Piłsudski.

Ulica Lubelska (obecnie Żeromskiego) zaczęła się roić od tłumów, który z oburzeniem, wyrażanym gwizdem gawiedzi i groźnemi okrzykami wiernej wiary legjonowej spotykał ukazujących się co chwila Austryjaków.

Nikt nie wątpił, że nadejdzie chwila zamanifestowania uczuć do Tego, który odważył się na czyn wielki wywalczenia niepodległośc Polski, a dziś, Bóg wie po raz który, musi cierpieć w twierdzy magdeburskiej za miljony.

Młodzież łudziła się, że jeśli manfestacja wypadnie dobrze, to okupanci będą zmuszeni wypuścić na wolność Komendanta lub poleje się krew..

Broni w tym czasie było bardzo dużo w posiadaniu osób prywatnych, gdyż fronty się zmieniały i szale zwycięstwa raz przechodziły na stronę armij sprzymierzonych Niemiec i Austrji, to znów na rzecz Moskali.

Nie było więc trudno zaopatrzyć się w broń, choć. wprawdzie, okupanci wydawali surowe obwieszczenia, nakazujące bezprawnym posiadaczom pod groźbą sądu wojennego broń zwracac władzom.

Praca Polskiej Organizacji Wojskawej głęboko zakonspirowana wydała bardzo dużo w tym czasie i przeszkoliła liczne zastępy młodzieży, gotowych do walki z najeźdźcami.

Młodzież rozumowała, że broń się znajdzie, ludzie gotowi do walki są, a brak tylko wodza...

Starsi i bardziej przewidujący nie brali tej sprawy tak gorąco, ale sam fakt aresztowania Komendanta poruszył do głębi dumę narodową i był taki stan faktyczny, że brakowało niewiele, by wybuchła rewolucja, co nastąpiło nieco później bo w 1918 roku.

Nastrój z godziny na godzinę wzrastał i w pewnym momencie, dzięki inicjatywie kilku działaczy społecznych, a wymienię tu obywatela Kirtiklisa, Libickiego Konrada i innych, zorganizowano wielką manifestację i tłum w liczbie kilku tysięcy ludzi, przy udziale członków Polskiej Organizacji Wojskowej, PPS, i organizacji społecznych pokrewnych ruszył pochochodem na Plac 3 Maja.

Żandarmerja austryjacka i wojsko oraz służba bezpieczeństwa w sile około trzech batalionów postanowiły za wszelką cenę pochód rozwiązać.

Ukazanie się Austryjaków spowodowało, że tłum wrogo odniósł się do nich i wśród okrzyków: „Wypuścić Komendanta, Precz z okupantami" itd zaczął wygrażać pięściami, tworząc olbrzymią ludzką zaporę, uniemożliwiającą posuwanie się wojska austryjackiego wzdłuż ulicy Lubelskiej.

W tym samym momencie żandarmerja austryjacka z aspirantem Kurhnem ulicą szeroką (obecnie Piłsudskiego) podeszła od tyłu i zaczęła stopniowo usuwać zgromadzonych. W obawie, aby akcja aspiranta Kurhana nie wywarła złego wpływu na przebieg manifestacji Kirtiklis, Libicki i ja ruszyliśmy w tamtą stronę i słowami zaczęliśmy zagrzewać zebranych do wytrwania na stanowisku. Skutek był dodatni, ale aspirant Kurhan, wściekając się ze złości, kazał mnie aresztować i przygwoździć bagnetami żołnierzy austryjackich do muru hotelu „Europejskiego". Sytuacja ta wydała mi się niezbyt wygodną i dlatego skorzystawszy z pewnego momentu, kiedy Austryjacy byli bardzo zajęci uspokajaniem tłumu, który tu i owdzie mieszał im szyki, „walnąłem" obu „dziadów" z lewej i prawej i dałem nurka w masę ludzką, nie oglądając się za siebie.

Okrzyki coraz groźniejsze dawały się co chwila słyszeć i przekonawszy się, że w tej stronie jest wszystko w porządku, udaliśmy się przed cerkiew prawosławną (dziś kościół garnizonowy) i tu skonstantowaliśmy ze gorzej nie jest, niż pod hotelem „Europejskim".

Przechodząc koło ulicy Zgodnej, tuż przy cukierni Rembikowskiego, zauważyłem, że żołnierz austryjacki chciał przebić jednego z manifestantów. Podskoczyłem i zerwawszy bagnet z karabinu, rzuciłem do pobliskiego ogrodu.

Starszyzna Polskiej Organizacji Wojskowej i PPS widząc, że gwałt i harmider powiększa się i chcąc uniknąć rozlewu krwi, ruszyła na czoło pochodu,

Manifestacja przemieniła się w morze ludzkie, otoczone bagnetami austryjackich żołnierzy. Pieśni legjonowe śpiewano z zapałem, a ogień oczu świadczył, że ludzie ci pójdą bodaj na śmierć, by Polsce zwrócić za wszelką cenę wodza.

Na skrzyżowaniu ulic Długiej i Lubelskiej pochód posunął się w kierunku budynków Ochotniczej Staży Ogniowej, gdzie nastąpiło rozwiązanie manifestacji.

Jednak przez cały dzień, aż do późnego wieczora, to tu, to tam grupy ludzi zbierały się i naradzały co dalej należy czynić.

Była to zapowiedź przyszłej rewolucji...

Nazajutrz do mego domu zawitali nieoczekiwani goście... żandarmi, którzy po dokonaniu rewizji, oświadczyli mi, że zostaje aresztowany i muszę się udać do Komendy Żandarmerji.

Być aresztowanym przez Austryjaków i dać się prowadzić środkiem ulicy, było ponad moje siły i z obrzydzeniem myślałem o mojej sytuacji, szukając w mózgu jakiegoś fortelu, by wykręcić się z tej przykrej sytuacji.

Spojrzałem na żandarmów i zauważyłem, że pilnie mnie obserwują, trzymając w pogotowiu karabiny, najeżone bagnetami...

Chwytając się deski ratunku postanowiłem iść z nimi na ugodę i bez żadnych osłonek, oświadczyłem, że paradowanie ulicami rodzinnego miasta w ich towarzystwie wcale mi się nie uśmiecha i dlatego proponuję, aby szli za mną w odległości kilku kroków i to chodnikiem.

Bez sprzeciwu zgodzili się na mój warunek.

Pożegnałem się z rodzicami i odprowadzony płaczem matki i smutnym tęsknym wzrokiem ojca skierowałem kroki do Komendy Żandarmerji.

Ku memu największemu zdziwieniu zastałem już obywatela Kirtiklisa którym wcześniej zajęła się żandarmerja, a za chwilę przybył do towarzystwa i Konrad Libicki,

Zaledwie zdążyliśmy zamienić między sobą kilka zdań, kiedy zjawił się aspirant Kurhan i zaczął nas indagować. Trwało to wprawdzie niedługo, gdyż jakby na zmowę wszyscy pod adresem Austrji sypaliśmy żartami, jak z rękawa, a docinki te w nielitościwy sposób szarpały nerwy „panu aspirantowi".

Po przesłuchaniu wsiedliśmy do dorożki i aspirant Kurhan odwiózł naszą trójkę do więzienia na ulicę Warszawską.

Więziono nas zaledwie dziewięć godzin, ale podczas pobytu w więzieniu mogłem zauważyć, że Austryjacy zastosowali do nas najostrzejsze środki ostrożności i abyśmy nie próbowali uciec, trzymali w pogotowiu pluton żołnierzy, który pilnował nas w pełnym rynsztunku bojowym. Każdy żołnierz posiadał granaty ręczne...

Ponura cela więzienna, kraty i pluton żołnierzy austryjackich, których widzieliśmy przez otwarte drzwi to żywy obrazek z dni walki o Polskę.

---

12 października 1918 roku.

Od kilku tygodni trwało przygotowanie do „roboty" pod Bąkowcem, a polegało na opracowaniu dokładnego planu, podziału poszczególnych funkcyj i przeprowadzeniu wywiadu, kiedy Austryjacy będą wieźli pieniądze do Kozienic, jaką siłę stanowić będzie eskorta i jakie sposoby należy zużytkować, aby akcja odniosła należyty skutek: zdobycia pieniędzy dla Komendy Głównej Polskiej Organizacji Wojskowej, gdyż jak mi wiadomo w kasie była tylko... jedna marka niemiecka

Punktem zbornym i kuźnią projektów stał się dom doktora Kelles-Krauza przy ulicy Szerokiej.

Trzeba bezstronnie przyznać, że doktór Kelles-Krauz narażał się co najmniej na ciężkie więzienie, gdyby akcja nasza została zdekonspirowana.

Wybitny udział w przygotowaniach do zamachu na pociąg pod Bąkowcem brali: Włoskowicz, Marjański, ja, „Szaleniec", Jerzy i Stanisław bracia Pisarscy, Kazimierz Marjański, dwóch robotników z Końskich, dwóch peowiaków z Warszawy, zaś cały szereg ludzi z Polskiej Organizacji Wojskowej współdziałał bądź jako łącznicy, bądź też wywiadowcy.

Przygotowania dobiegały do końca...

Postanowiliśmy, że podczas akcji należy się starać, by nie zabijać eskorty, a tylko w taki lub inny sposób ją unieszkodliwić.

2 października wieczorem otrzymałem trzy rewolwery systemu Browninga, zapasowe magazyny z nabojami i... angielskie kajdanki, które miały służyć do skucia oficerów.

Zaopatrzyliśmy się przy pomocy naszych ludzi w „lewe" dowody osobiste, które przyniósł nam Stach Pisarski a rankiem dnia 12 października mieliśmy spotkać się na stacji kolejowej i dopiero w wagonie miałem wręczyć „spluwy" moim towarzyszom wyprawy.

Ostateczny plan polegał na tem, że Józef Marjański i Włoskowicz zajmą się dostarczeniem pod Garbatkę bryczek, na które załadujemy łup i zabezpieczą na odwrót przez wysłanie łączników na wypadek, gdyby Austryjacy rzucili za nami pogoń.

W okolicy cmentarza przy drodze kolejowej, wiodącej od Bąkowca do Kozienic jeden z legjonistów ma podłożyć petardę, przeciąc druty telefoniczne, a my w tym czasie wyskoczymy z wagonu i przystąpimy do właściwej roboty.

Wskazanem byłoby, aby nasza paczka, atakująca eskortę, znajdowała się w tym przedziale, gdzie mają jechać Austryjacy, którzy przeniosą pieniądze z pociągu lubelskiego do udającego się w kierunku Kozienic.

Umówionem też zostało, że razem z Austryjakami będzie jechał z Lublina jeden z peowiaków, który nam wskaże cel ataku.

Wszystkie te sprawy poruszone były w wigilję dnia 12 października, aby nazajutrz zmienić je w czyn.

Powróciłem do domu później, niż zazwyczaj i uskarżałem się rodzicom na ostry ból serca. Kłamałem, jak najęty, że lekarz stwierdził wadę serca.

Do rodziców miałem zawsze ciepłe uczucie

i chciałem w ten sposób przygotować ich na wszelki wypadek, gdyby mnie spotkało co złego pod Bąkowcem.

Zdawałem sobie z tego sprawę, że rodzice od dawna upatrzyli mnie na opiekuna i gdybym nie wrócił, to dla nich cios ten byłby okrutny i niezwykle bolesny, a przecież nie chciałem im nigdy sprawić najmniejszej choćby przykrości. Dlatego też symulując chorobę serca, chciałem w ten sposób zmniejszyć rozpacz...

Długo w nocy rozmyślałem o akcji, która mnie czeka. Żal mi było rodziców, ale silniejszą okazała się miłość ojczyzny i po długiej wewnętrznej walce i bezsennej nocy, wstałem i cichutko wyszedłem z domu, żegnając drogich staruszków i ten dom do którego kto wie czy wrócę.

Udałem się wprost na dworzec. Przed wejściem na peron stoją żandarmi i kontrolują dowody osobiste.

Idę śmiało, pokazuję swój dowód i po stwierdzeniu, że jest w porządku, już bez zbytniego pośpiechu, wkraczam na peron, gdzie wkrótce odnajduję tych, którzy ze mną jadą na „robotę".

Tłok nadzwyczajny... Zadowolony jestem z tego, gdyż łatwiej mi jest wręczyć, będąc niespostrzeżonym przez niepożądane oczy, moim towarzyszom wycieczki, broń i zapasowe magazyny.

Stojąc na korytarzu w wagonie 3 klasy, gdyż miejsca za żadne skarby nie mogłem znaleźć, dojechałem do stacji Bąkowiec.

Jest to stacja, znajdująca się między Dęblinem, Kozienicami i Radomiem. Zbudowana na palach, wcale nie przypomina żadnej stacji europejskiej.

Muszę zaznaczyć, że wychodząc z domu nic

nie jadłem, a sam fakt, że dziś rozegra się walka, wcale apetytu mi nie poprawił. Nie odczuwałem głodu, natomiast nieprzespana noc zrobiła swoje i wściekle pić mi się chciało. Nerwy trzymałem w karbach, ale pragnienie nie dawało mi spokoju, to też z miną człowieka znudzonego przeszedłem most, łączący peron ze stacją i w bufecie napiłem się żydowskiej, zafarbowanej lemoniady którą w normalnych warunkach nie piłbym za żadne skarby świata.

Ledwie zdążyłem napić się lemoniady, gdy nadszedł pociąg.

Łącznik z Lublina, peowiak, ładny chłopiec dał nam znak, dzięki któremu zorjentowaliśmy się w obecnem położeniu i udaliśmy się do wagonu, gdzie Austryjacy mieli zająć miejsca.

Siedzieliśmy, jak nigdy nic, gdy wtem chorąży bez ceremonji nas wypędza.

Nie straciliśmy rezonu i najspokojniej w świecie, usadowiliśmy się w sąsiednim, aby w kilkanaście minut po tem całkowity nasz plan wykonać.

Pociąg rusza... Rozmieszczeni po dwóch przy drzwiach każdego z dwuch przedziałów, by wypaść z wagonu i zyskać na czasie, gdy pociąg się zatrzyma.

Publiczność rozmawia i nie przeczuwa, że za chwilę może rozegrać się tragedja...

Huk petardy. Pociąg stanął... Zrywamy się z miejsc i odbezpieczamy rewolwery.

Pewna pani, która znajdowała się w naszym przedziale, zwraca się do nas, abyśmy nie strzelali i dali wszystkiemu spokój.. Upewniam ją, że nie jesteśmy bandytami i nie czekając na odpowiedź wyskakuję z wagonu.

Robota się zaczęła.

Wpadam do sąsiedniego wagonu i w towarzystwie jednego z naszych ludzi otwieram drzwi...

„Hende hoch. Seien Sie ruhig" — krzyknąłem, mierząc z pistoletu do znajdujących się tam oficerów. W odpowiedzi Węgier-kapitan pali do mnie z Frommera, a w rewanżu otrzymuje dwa celne strzały.

Coupe zostaje błyskawicznie opróżnione, Rzucamy się w pogoń za uciekającymi. Chwytam leżący karabin i oddaję strzał...

Chybiłem. Tak mi się przynajmniej zdawało. W nienaturalnych szybkich skokach panicznie uciekają major i chorąży z eskorty.

Nie tracąc czasu obstrzelaliśmy wagon pocztowy i po rozbrojeniu eskorty, która została steroryzowana, zabieramy łup, zapowiadając, że pociąg ma stać do tej chwili, dopóki maszynista nie usłyszy huku granatu...

Zajrzałem przez ciekawość do wagonu, gdzie przedtem jechaliśmy. Wszyscy leżą na podłodze i w strachu...

Udajemy się w kierunku na Garbatkę, do szosy, prowadzącej do Radomia. Skrzynie z pieniędzmi djablo ciężkie. Uginamy się pod ciężarem i śpieszymy się, by jak najprędzej dotrzeć do bryczek i wypocząć po bardzo ciężkiej zaiste pracy...

Przez las, moczary, naprzełaj przez pola zorane, skracamy drogę. Nareszcie ukazują się bryczki.

Poznaję z Radomia dorożkarza Barańskiego i jakiegoś drugiego, nieznanego mi. Ładujemy pod siedzenia zdobycz i jazda, w stronę Jedlni.

Po forsownej bieganinie, pot kroplisty spada z czoła, ale czujemy się doskonale, gdyż pierwszy etap został zakończony.

Na wypadek niespodzianki każdy z nas tak się

lokuje na bryczce, aby pod ręką właściwie w rękawie mieć rewolwer.

Po kilkuminutowej jeździe, widzimy na szosie sylwetki, które w miarę zbliżają się, przemieniają się w austryjackich żandarmów...

Rozstawieni w tyraljerze są przeszkodą, którą należy za wszelką cenę zwalczyć, gdyby nam chcieli stawiać jaki opór.

Powiedziałem do Barańskiego, aby tak zajechał przed żandarmów, żeby jadąca za nami bryczka mogła stanąć na równej z naszą wysokości a wtedy..

Odległość z każdą chwilą się zmniejszała. Bryczki zatrzymały się na chwilę, tak, jak było przewidziane, ale w tym momencie krzyknąłem na Barańskiego „Jak jedziesz...". Ten nie czekając na powtórzenie mu rozkazu, podciął konie i bryczki potoczyły się w dalszą drogę.

Ujechaliśmy zaledwie pół kilometra, gdy ukazał się na rowerze Kazik Marjański i ostrzegł nas, że wszystkie szosy pod Radomiem są obstawione przez austryjackich żołnierzy za wyjątkiem Warszawskiej.

W dalszej drodze zatrzymaliśmy się na moment, gdyż „Szaleniec" posądził, jadącego na rowerze łącznika z Polskiej Partji Socjalistycznej za szpicla i chciał go „spławić". Dopiero po mojej perswazji i stwierdzeniu, że łącznik ów mówił prawdę puścił go.

Ze względu na nasze bezpieczeństwo, skręcamy w stronę Kozłowa. Droga ciężka, piasczysta. Schodzimy z bryczek, by ulżyć koniom.

Noc zwolna zapada i na niebie ukazuje się księżyc.

W bladem świetle księżyca wyglądamy, jak cienie, mary...

Posuwamy się po obu stronach bryczek, trzymając rewolwery w garściach, dziwnie zmęczeni i wściekle głodni.

Nagle, jak grom z jasnego nieba ciszę, ni stąd, ni zowąd przerywa okrzyk „halt".

W odpowiedzi, bez komendy pada szereg strzałów i spokój znów zapanował... Stwierdziliśmy, że byli to żandarmi, którzy chcieli nas zatrzymać.

Była w tem wszystkiem, co się w ciszy leśnej działo, jakaś, tajemniczość, która mrozi krew w żyłach.

O brzasku dotarliśmy do szosy Warszawskiej i złożywszy broń na bryczki, grupkami udaliśmy się do miasta.

Wprawdzie, wartujący na szosie żołnierz zatrzymał naszą pierwszą grupę i zapytał dokąd idziemy, a że była to niedziela, odpowiedzieliśmy, że do kościoła, więc puścił nas i każdy udał się do domu na zasłużony odpoczynek.

Dowlokłem się do domu, ale tak byłem wyczerpany, że zdążyłem zaledwie powiedzieć matce, aby wyprasowała mi ubranie, które podczas akcji najbardziej ucierpiało przy przedzieraniu się przez moczary i mogło służyć za dowód obciążający, gdyby szpiclom udało się wpaść na nasze tropy.

Matka, która dowiedziała się z nadzwyczajnych dodatków dzienników radomskich, że jacyć „zbrobniarze" napadli na pociąg i zrabowali pieniądze, przywitała mnie smutnym uśmiechem i odprowadziła wzrokiem aż do drzwi mego pokoju.

Zmęczony, jak kłoda ległem na łóżku, włożywszy poprzednio pod poduszaę rewolwer.

Spałem, jak suseł przeszło osiem godzin i wy-

poczęty udałem się do miasta, by przeczytać dzienniki.

W „Ziemiańskiej", a była to mleczarnia, urządzona staraniem okolicznych ziemianek i mieściła się obok hotelu „Europejskiego", napiłem się kawy, przeczytałem moc dzienników, które podawały wiadomości o dokonanej eksproprjacji pod Bąkowcem i po zamienieniu kilku zdań ze znajomymi, wróciłem do domu, by w najbliższej przyszłości wyjechać do Opoczna, gdzie czekała mnie nowa praca.

W kilka miesięcy później dowiedziałem się, że bryczki ze zdobytymi pieniędzmi zajechały do hotelu „Rzymskiego", gdzie je ekspedjowano serjami do Komendy Głównej Polskiej Organizacji Wojskowej w Warszawie przy pomocy pań: Szelochówny, Balkowskiej i innych.

W każdym bądź razie akcja pod Bąkowcem uwieńczona została dobrym rezultatem, gdyż Polska Organizacja Wojskowa mogła zużyć pieniądze na dalszą walkę z okupantami.

Ciekawym momentem, który rzuca się w oczy, jest fakt, że udział czynny, bezpośredni zaznacza się znikomą ilością ludzi, którzy wierzyli głęboko w potrzebę samej akcji i ta głęboka wiara zwyciężyła przeszkody, a wysiłki rewolucjonistów dały pożądany wynik.

Udany zamach na pociąg pod Bąkowcem wywarł dodatni wpływ na innych członków walki czynnej i był zachętą do dalszej pracy.

Jeśli sięgam wspomnieniem do tych czasów, jeśli analizuje poszczególne fragmenty wyprawy pod Bąkowiec — jasno zdaję sobie sprawę z tego, że choć ludzie, biorący udział nie znali się prawie, gdyż widzieli się krótko przed akcją, jednak charakteryzuje ich przedewszystkiem ofiarność, której dali dowody podczas „roboty", następnie i to, że choć Austryjacy dokładali starań wykrycia sprawców napadu, nikt z biorących udział nie zrobił „wsypy", jak często bywało w tego rodzaju pracach konspiracyjnych w roku 1905.

Na zakończenie muszę dodać, że w chwili kiedy już odchodziliśmy z łupem od pociągu, zauważyliśmy, że na szynach leży kapitan-Węgier, który pierwszy do nas strzelił w momencie otwierania drzwi do coupe, gdzie byli oficerowie i... pieniądze.

Leżał spokojnie, a krew płynęła mu z ust...

Mój towarzysz, peowiak z Warszawy, proponuje abyśmy rannego obandażowali, ale ze względu na konieczny w tych razach pośpiech rzuciliśmy mu tylko bandaże, oświadczając, że nie jesteśmy bandytami. Chwycił skwapliwie, ale i to nie uratowało go, gdyż umarł na stacji w Dęblinie, jak się później dowiedziałem.

Z eskorty również został ranny moim strzałem chorąży, a tylko trzeci oficer. major, wyszedł cało.

Przejeżdżając w kilka lat później po opisanych wypadkach spotkałem w Bąkowcu starego kolejarza, który przyglądał mi się dosyć długo i czułem, że chciał się o coś zapytać... Przyszło mi na myśl czy przypadkiem nie jest jednym z obsługi pociągu, na który napadliśmy w dniu 12 października. Nie omyliłem się.

Dopiero starowina naopowiadał mi różnych historyj, jak to Austryjacy mieli „pietra".

Opoczno.

Po przybyciu do Opoczna nawiązałem ścisły kontakt z miejscowemi działaczami społecznemi i przystąpiłem do pracy, ćwicząc „Piechurów". Pod tą nazwą kryła się faktycznie Polska Organizacja Wojskowa.

Jednocześnie pracowałem nad swem wykształceniem i zdobyciem jak najwięcej wiedzy zarówno ogólnokształcącej, jak też i wojskowej.

Brat mój, Stefan, pracował w aprowizacji miasta Opoczna i dzięki niemu od czasu do czasu wpadło mi trochę pieniędzy, które zarabiałem, wykonując roboty kancelaryjne poza biurem.

Tryb życia uregulowałem w eposób iście spartański.

I tak płynęło życie bez jakichkolwiek niespodzianek, aż do końca października 1918 roku.

Pod koniec października nadeszły frapujące wiadomości, świadczące o tem, że Polska Organizacja Wojskowa coraz czynniejszy wykazuje udział i zaczyna tu i owdzie niepokoić okupantów, słowem prowadzi dywersję, przerywając druty telefoniczne, uniemożliwiając przeprowadzać rewizję oddziałom „Landsturmu" i temu podobną akcję na terenie całej Polski.

Niektóre miasta samorzutnie zaczęły rozbrajać

garnizony wojsk okupacyjnych, a więc i na nas przyszła też kolej.

Było to dnia 2 listopada.

Wieczorem, po krótkiej odprawie, podzieliliśmy siły na dwie partje, na czele jednej stanął Goworek Wiktor i miał za zadanie rozbić „Kreiskomendę", ja zaś wartę główną, mieszczącą się w więzieniu, nazywanem popularnie „Esterką".

Z siedmiu ludźmi udałem się do „Esterki" i wszedłszy bez przeszkód do wartowni unieszkodliwiłem całą załogę: teroryzując wartowników pożyczonym browningiem.

Po dokonaniu rozbrojenia wartowni, przystąpiłem natychmiast do wyekwipowania moich ludzi w broń i amunicję.

Karabiny były systemu włoskiego, a moi ludzie znali tylko Manlichera, więc po krótkiej, ale treściwej nauce, ustawiłem oddział przed „Esterką", odbezpieczywszy każdemu z osobna broń.

Wtem, jak z pod ziemi wyrosła kompanja Austryjaków i ustawiła się przed wartą główną.

Zdążyliśmy zaledwie ukryć się za drzewami, gdy spotyka nas taka niespodzianka.

Wycofać się nie było możności, gdyż bylibyśmy wystrzelani, jak kaczki na wodzie, pozostała więc jedyna deska ratunku, wyczekania odpowiedniego momentu i rozpoczęcia nierównej walki.

Moment taki nadszedł prędzej, niż można było się go spodziewać. Dowódca kompanji Matschenka skierował do mnie broń i... wypalił. Kula przeleciała mi nad głową i jak później sprawdziłem zeledwie kilka centymetrów dzieliło mnie od przejechania się na tamten świat. Nie namyślając się długo, oddałem dwa celne strzały, kładąc go trupem na miejscu.

Powstał popłoch. Wyzyskując zamieszanie, jakie wytworzyło się w szeregach austryjackich, a wiedząc, że znajduje się poważny odsetek Czechów, krzyknąłem: „na zdar Czechom"...

Odpowiedziało mi gromkiem „na zdar" i w kompanji nastąpił taki chaos, że można było przystąpić do likwidacji przeciwnika.

Przy świetle lamp elektrycznych zgromadził się tłum, który należało użyć, dając przykład przez podejście do kompanji już w tej chwili zdezorganizowanej i zdemoralizowanej.

Z garstkę zuchów ruszyłem naprzód, a za nami tłum...

Pod lufą mego rewolweru kompanja rozdzieliła się na dwie części i publiczność zachęcona przykładem sama chwytała za karabiny.

W tym czasie, kiedy rozbroiliśmy Austryjaków, nadszedł pułkownik Malinowski i oddział Goworka.

Byłem podniecony do tego stopnia i nie zauważyłem, że przez dłuższy czas trzymałem pod lufą mego rewolweru majora Locke, komendanta żandarmerji i byłbym go niechybnie zabił, gdyby, nie był ukazał się pułkownik Malinowski i oddział Goworka.

Na majora Locke zaciąłem się szczególnie, gdyż otrzymałem wiadomść, że żandarmerja do tej chwili nie oddaje broni, a więc — rozumowałem — Locke nie wydał rozkazu podporządkowania się władzom polskim.

Pułkownik Malinowski podszedł do mnie i zapewnił, że Locke dał słoło honoru i zobowiązał się nie opuszczać Opoczna bez wiedzy władz polskich.

Oświadczenie tego rodzaju było dla mnie wystarczającem i Locke poszedł z grupą oficerów austryjackich do swej kwatery.

Na drugi dzień, kiedy zapytałem o majora Lockę, ludzie moi odpowiedzieli, że uciekł...

W kilka dni potem pułkownik Malinowski przysięga na rynku w Opocznie na wierność Polski.

Uroczystość przysięgi miała podniosły charakter, a odbyła się u stóp pomnika Tadeusza Kościuszki.

Zgromadzone tłumy wznosiły okrzyki na cześć powstałej Ojczyzny i Komendanta Józefa Piłsudskiego.

Kraj zrzucił okowy niewoli i życie w garnizonie opczyńskim płynęło dzień za dniem na szkoleniu. i organizowaniu oddziałów wojskowych, które następnie wcielano do tworzących się pułków.

Po zorganizowaniu kompanji otrzymałem rozkaz od generała Norwid-Neugebuera, abym wyjechał do Piotrkowa do 26 pułku piechoty, co też uczyniłem z prawdziwą radością, gdyż życie w garnizonie opczyńskim zaczynało mnie nudzić.

W niedługim czasie po moim wyjeździe, opuścił Opoczno i Goworek, z którym spotkałem się następnie w 24 pułku piechoty.

Przy rozbrajaniu Opoczna czynny udział brali peowiacy, a inteligencja, robotnicy i chłopi współpracowali, pełniąc służbę wartowniczą przy składach aprowizacyjnych, które przejęliśmy po Austryjakach.

Ryszard Radomski, bracia Chrustowicze, Otwinowski, Badowski i cały szereg ludzi z Polskiej Organizacji Wojskowej zdali egzamin dojrzałości społecznej i poświęcenia dla dobra Polski.

Trzeba było widzieć, jak inteligent po przepracowanym dniu idzie w „cywilu" z karabinem na ramieniu pełnić wartę przy magazynie, jak robotnik w wytartej bluzie z pustym żołądkiem uważa za swój

obowiązek też pomóc przy budowie Rzeczypospolitej...

Były to obrazy zgodnej harmonijnej pracy dla dobra wszystkich klas, dla Polski,.. których się nie zapomina nigdy.

Rozkaz.

Moc światła. Muzyka rozpływa się po sali restauracyjnej. Gwar, zgiełk, wiwaty... Po całodziennym trudzie młodzi i starzy oficerowie zebrali się, by w wspólnem gronie spędzić wesoło kilka chwil, bo niewiadomo, co jutro przyniesie.

Widać twarze ogorzałe starej wiary, która powróciła z różnych stron świata, z różnych armij, by teraz pracować dla Polski i głosić sławę oręża polskiego całemu światu.

Młodzi oficerowie słuchają opowiadań z przeżyć starej wiary, wygów frontowych a na twarzach ich rozlewa się zachwyt i bije niezłomne postanowienie dokonania takich czynów, by w niczem nie ustępowały najwaleczniejszym z walecznych.

Cały dzień pracowali ci ludzie, nie szczędząc sił i zdrowia, wieczorem zebrali się, aby podzielić się wrażeniami dnia ubiegłego.

Czas biegł z szybkością błyskawicy i biła północ, gdy na salę wszedł oficer służbowy... Zbliżył się do najstarszego z siedzących w restauracji oficerów i szeptem zamienił z nim kilka zdań, następnie oddawszy honory wojskowe opuścił lokal.

Najstarszym z oficerów był pułkownik T., który jednocześnie pełnił funkcje komendanta garnizonu.

Po rozmowie z oficerem służbowym pułkownik powrócił do naszego towarzystwa i zaczął się żegnać.

Kiedy podszedł do mnie szepnął mi do ucha, bym wyszedł z nim do sąsiedniego pokoju. Zauważyłem dziwny smutek na jego twarzy i znalazłszy się zdala od towarzystwa dowiedziałem się, że o piątej godzinie rano mam się zameldować w dowództwie pułku.

— Wesołej zabawy — rzekł mi na pożegnanie pułkownik i sprężystym krokiem udał się do koszar naszego garnizonu.

Zabawa potoczyła się dalej. Do rozmowy z pułkownikiem nie przywiązywałem żadnego znaczenia, tembardziej, że w służbie zawsze starałem się być w porządku. Koledzy wprawdzie snuli różne przypuszczenia na ten temat, mnie zaś pociągała chęć usłyszenia końca opowiadania, przerwanego przed chwilą, jednego z oficerów służby wywiadowczej.

Powoli rozmowa dobiegała do końca i za przykładem innych i ja opuściłem salę restauracyjną.

Przyszedłem do domu około drugiej po północy i zasnąłem snem kamiennym. Punktualnie o piątej byłem już w dowództwie pułku, ale musiałem chwilę czekać, gdyż przedemną czekali również na raport u pułkownika starsi koledzy. Dziwiła mnie wczesna pora i to, że zastałem innych kolegów, którzy wyglądali jakoś dziwnie, poważnie, uroczyście...

Po pewnym czasie adjutant oświadczył mi, że nadeszła moja kolejka.

Poprawiłem mundur i stanąłem przed pułkownikiem.

Krótki meldunek wojskowy... Pułkownik popatrzał się przez chwilę na mnie swemi mądremi oczyma i przemówił w te słowa:

„Panie podchorąży" służba dla Ojczyzny wymaga od żołnierza nieraz nadludzkich wysiłków i niema

chyba szczerego Polaka, któryby w potrzebie nie chciał oddać ostatniej kropli krwi dla Polski. Choć krótko znam pana, jednak wierzę, że jeśli wypadnie panu obowiązek pójścia na odpowiedzialny odcinek bojowy, to nietylko wywiąże się pan należycie, ale innym wskaże pan drogę do zwycięstwa i nigdy nie przyniesie pan wstydu naszemu pułkowi.

— Tak jest — panie pułkowniku — odrzekłem.

— Dziś otrzyma pan przydział do Kompanji Radomskiej i wyjedzie pan na Śląsk Cieszyński. Życzę panu powodzenia z całego serca.

Tu pułkownik podszedł do mnie i uścisnąwszy prawdziwie po ojcowsku, dał mi znak odejścia.

Odchodząc, spojrzałem na pułkownika i zobaczyłem, że cicha potoczyła się łza po twarzy tego starego żołnierza, który niejeden bój przeszedł i wygrał setki bitew...

Dziwny był to człowiek. Obowiązkowy, dokładny służbista, aż do przesady, w boju nieugięty i wytrzymały na wszelkie trudy wejenne, ale z sercem kobiety...

Opowiadano mi, że od czasu, kiedy kilku z naszych kolegów zginęło pod Gródkiem Jagiellońskim śmiercią walecznych, nie mógł powstrzymać się od tego by nie uronić łzy, kiedy wojna zabierała mu oficerów instruktorów.

Marzeniem pułkownika było, aby armja polska pod względem wyszkolenia i gotowości bojowej zajęła pierwsze miejsce na całym świecie i bolał, jeśli zauważył, że wysyłamy na front zaledwie trochę przeszkolonego żołnierza, choć zdawał sobie dokładnie sprawę, że wyjątkowa sytuacja zmusza nas do tego.

— — — — — — — — — — — — — — —

O świcie dnia 26 stycznia 1919 roku kompanja marszowa stanęła do przeglądu, aby w kilka godzin potem wyjechać na front.

W wagonach żołnierze śpiewają piosenki legjonowe i wesołość beztroską widać na twarzach przyszłych wiarusów.

Nastrój pierwszorzędny.

W międzyczasie oficerowie prowadzą wykłady, celem uzupełnienia wiadomości wojskowych, szczególnie w zakresie służby w polu.

Po kilku godzinach jazdy przyjeżdżamy do Kielc, gdzie uzupełniamy ekwipunek żołnierski.

Generał Norwid-Neugebauer jest obecny i żywo wydaje rozkazy, aby nie tracić ani chwili, gdyż otrzymał wiadomości ze sztabu generalnego, że na odcinek śląski przybywają posiłki legjonarzy czeskich...

To też w niespełna dwie godziny byliśmy załatwieni i ruszyliśmy w dalszą drogę, nie zatrzymując się prawie na przystankach kolejowych...

Siedzę w wagonie towarowym w towarzystwie kilku kolegów i stuk kół monotonny zaczyna mnie męczyć... Zasypiam.

Nie wiem, jak długo spałem, ale obudził mnie ruch dziwny w wagonie i żywe krzątanie się kolegów.

Otwieram oczy i widzę, jak Jasio Górnicki uśmiecha się do mnie i rzecze:

— Wstawaj, już Skoczów. Za chwilę będziemy tłukli „pepików"...

Słychać strzały pojedyńczych karabinów i od czasu do czasu zarechocze „maszynka".

Zrywam się na równe nogi i szybko pakuje bagaż, gdyż czas najwyższy, aby zająć się plutonem.

Po spożyciu śniadania kompanja rusza w kierunku miasta Skoczowa, aby w dowództwie frontu otrzymać dalsze rozkazy.

Mróz szczypie po twarzach, ale humor nie opuszcza wiary i kompanja dziarsko podchodzi pod dowództwo frontu.

Krótki postój i udajemy się na powierzony odcinek bojowy.

Im bliżej podchodzimy do linji, tem lepiej słychać strzały.

Gorączka czynu opanowała nietylko oficerów, ale i szeregowych.

Każdy radby lotem ptaka znaleźć się jak najprędzej na odcinku naszej kompanji, by co rychlej bić wroga.

Na odcinku bojowym.

Porucznik Kazimierz Przedwojewski, ja, Górnicki, Goworek i podchorąży Czerwiński — to wszyscy oficerowie kompanji. Życie tak szczęśliwie się układa, że panuje pomiędzy nami wielka harmonja, choć pochodzimy z różnych armij.

Muszę zaznaczyć, że w tym czasie panował w wojsku antagonizm pomiędzy oficerami z armji zaborczych a legjonistami. Nasza paczka jest zgrana i cieszę się podwójnie z tego, gdyż zdaje sobie sprawę, że tylko w zgodzie pracować można z korzyścią dla Polski.

Obsadziliśmy odcinek bojowy pod Wilanowicami niedaleko Skoczowa.

Na tle pokrytej śniegiem ziemi widać zabitych i rannych...

Żołnierze nasi zadziwili mnie pierwszą „robotą" strzelając celnie i ze spokojem do wroga.

Z góry Mirowej rozpościera się piękny widok, aż po Korwinę.

Rozmawiałem ze Ślązakami, którzy tęsknym wzrokiem spoglądają w kierunku kopalń karwińskich, gdzie pozostawili rodziny, by bić się za Polskę... Są to przeważnie robotnicy, ubrani po cywilnemu i uzbrojeni w ręczne karabiny austryjackie i granaty.

Choć mróz dokucza jednak trzymają się od kilku dni i dzielnie bronią pozycji.

Tędzy ludzie...

---

30 stycznia 1919 roku.

Rankiem zajęłem odcinek bojowy na Górze Mirowej. Śnieg pada i mróz daje się dotkliwje odczuwać. Od czasu do czasu padaja pociski artyleryjskie i słychać świst kul karabinowych. Czesi rozpoczęli atak, który załamał się w celnym ognu mego plutonu. Roboty było po same uszy... Biegałem wzdłuż frontu i choć mróz był dość duży cały byłem po akcji spocony.

Nasi chłopcy wytrzymali pierwszy atak „pepików" i wykazali, że są karni i umieją wykonywać rozkazy.

Z góry Mirowej widać, jak na dłoni zabitych i rannych Czechów a czerwień krwi na śniegu psuje piękno krajobrazu.

W plutonie mam jednego zabitego, jednego ciężko i kilku lekko rannych. Co do mnie, to czuje się bardzo dobrze, choć lekko zostałem ranny.

1 luty.

Dziś nastąpiło zawieszenie broni na prośbę czechów.

Z chwilą nastania zmroku fortyfikujemy w dalszym ciągu nasze pozycje i słyszymy, że Czesi też nie próżnują.

Ludzie są przemęczeni, gdyż pełnią służbę od chwili przybycia na front, a mimo to fantazja kawa-

lerska nie opuszcza moich zuchów i pieśni żołnierskie rozlegają się, aż miło...

Od 2 do 6 lutego.

Dnie schodzą na kopaniu rowów strzeleckich, wystawianiu w nocy placówek i obserwowaniu ruchów. nieprzyjaciela.

Nocą od czasu do czasu pada strzał, przerywając błogą ciszę...

Placówki czuwają pilnie, oświetlając rakietami przedpole.

7 luty.

Dowiedziałem się od Kazika Przedwojewskiego, że jutro ma przyjechać na nasz odcinek brygadjer Latinik, dowódca frontu, aby obejrzeć nasze stanowiska.

8 luty.

Śnieżyca, że oko wykol, a na odległość kilku kroków nic zauważyć nie można...

Brygadjer Latinik nie przybył, natomiast otrzymaliśmy rozkaz przerwania robót fortyfikacyjnych.

Między żołnierzami zdarzają się wypadki tyfusu...

W plutonie pozostało mi zaledwie 18 ludzi.

9 luty.

Niedziela. Śnieg prószy i powietrze jest dość przyjemne. Na całym froncie spokój.

10 luty.

Dziś w nocy o godzinie 2 mieliśmy alarm.

Dnia tego spaliśmy w chałupach, jak to się mówi, snem sprawiedliwego, gdy w tem wpadł posterunek alarmowy i wręczył mi kartkę, zawierającą rozkaz dowódcy kompanji, aby natychmiast zająć odcinek bojowy.

Przez zaspy śnieżne i pobliskie wzgórza zmęczony dostałem się z plutonem na Górę Mirową i obsadziłem poprzednie stanowiska.

Był to prawdziwy wyścig czy bieg maratoński. Leżeliśmy w okopach przeszło pół godziny i nieprzyjemne uczucie mrozu zaczęło wywierać swój wpływ: ludzie trzęśli się, jak w febrze i zacierali ręce, zachowując jednak ciszę z prawdziwie kocią ostrożnością.

Później otrzymałem rozkaz powrotu na „leże“ do chałup, gdzie po wypiciu kawy wszyscy zasnęli.

11 luty.

Za bitwę pod Wilanowicami zostałem podany do Krzyża II klasy za waleczność w obronie Śląska i mam otrzymać awans na podporucznika.

Dowiedziałem się również, że dwóch z mego plutonu żołnierzy też otrzyma krzyże II klasy.

12 i 13 luty.

Nic nowego nie zaszło przez te dwa dni.

14 luty.

Jesteśmy w rezerwie, choć co prawda kilka zaledwie metrów od pierwszej linji. Dziś mój pluton był w kąpieli, jutro zaś będziemy pełnić służbę.

15 luty.

Na odprawie dowódców plutonów „Radomskiej Kompanji" porucznik Przedwojewski oznajmił, że prawdopodobnie pójdziemy do Cieszyna, gdyż Czesi wycofują swe oddziały.

16 i 17 luty.

Przez dwa dni ćwiczyliśmy się i przygotowywaliśmy do defilady w Cieszynie a kosztowało to nas bardzo dużo pracy. gdyż żołnierze „Radomskiej Kompanji" musztry formalnej wcale prawie nie znali i czasu nie było na szkolenie, gdyż w pierwszym rzędzie należało dawać posiłki na front, gdzie ludzi codziennie ubywało wskutek ciągłych walk na poszczególnych frontach i zadawalniano się, gdy żołnierz umiał coś-niecoś z musztry formalnej, a cały nacisk kładziono na wyszkolenie bojowe.

W czasie ćwiczeń do naszych uszu dolatywały huki wybuchów granatów. Jak się dowiedziałem od oficerów z dowództwa brygady, Czesi żegnali niegościnny Śląsk w ten oryginalny sposób...

18 luty.

Z inicjatywy majora Zörnera, dowódcy naszej grupy mieliśmy fotografować się, ale zaszedł mały wypadek, który zniweczył ten projekt i pozbawił mnie cennego zdjęcia.

Kiedy zgrupowaliśmy się na starej linji bojowej, aby umożliwić fotografowi zdjęcie, wtedy znienacka czeski posterunek alarmowy dał do nas ognia i po stronie czeskiej powstał wielki alarm, wskutek czego major Zörner i fotograf odjechali...

19 luty.

Na nasym odcinku sytuacja się zaostrza... Otrzymaliśmy skrzynie ładunków karabinowych, granatów ręcznych i stosy rakiet.., Noc ciemna, że na krok nikogo nie można ujrzeć.

Ostre pogotowie, śpiemy w ubraniach... Ciekawym co z tego wyniknie?

20 luty.

W myśl rozkazu dowódcy kompanji wydałem ludziom po sto dwadzieścia ładunków i skorzystawszy z chwili wolnego czasu urządziłem wykład o balistyce.

Słońce świeci, dzień taki ładny, że aż się serce raduje...

21 luty.

Na odcinku kompanji „Podhalańskiej" Czesi zaatakowali placówkę, mimo że formalnie istnieje zawieszenie broni.

Służba dość ciężka, bo z jednej strony musimy umacniać pozycje i zakłada czasieki druciane, z drugiej zaś pełnić w nocy służbę...

Chodzą pogłoski, że mamy się wycofać... Żołnierze naszej kompanji kilkakrotnie zapytywali mnie czy to prawda. Odpowiadałem, że jak będzie rozkaz — to się dowiedzą... W duszy oburzam się, gdyż według mnie na odcinku całego frontu można się trzymać bez obawy utracenia pozycji na rzecz Czechów, gdyż miałem możność przekonać się o nastrojach wśród żołnierzy, rozmawiając z wielu oficerami...

22 luty.

Spokój.

23 luty.

Od godziny 7 z rana trwała wytężona praca na Górze Mirowej przy umacnianiu pozycji. Przez lornetkę Jaśka Górnickiego zobaczyłem mundury czeskich legjonarzy, którzy zajęli odcinek przed nami.

Umundurowanie przypomina krojem i kolorem mundury żołnierzy francuskich.

W nocy między godziną 2 a 12 zaalarmowano naszą kompanję i otrzymaliśmy rozkaz wyruszyć na pomoc do grupy pułkownika Jatelnickiego.

Marsz uciążliwy... Woda po kolana... Idziemy z góry na dół i znów... z dołu do góry... Teren falisty i trudny do przebycia szczególnie w nocy.

Ludzie szemrają, klną na czem świat, czasem któryś z nich wyrżnie plackiem w breję, podrywa się i śpieszy za innymi.

Widać łunę na horyzoncie... Rakiety co chwila, jak błyskawice prują ciemność nocy... słychać strzelaninę.

Idziemy, jak upiory, bo któż mógł o tej porze iść drogami po których rzadko kto chodził?

Po długim i uciążliwym marszu przybyliśmy do celu.

Pułkownik Jatelnicki w krótkich słowach przemówił do nas i podziękował za to, że przybyliśmy na czas, podkreślając, że jeżeli nadaży się sposobność, odwdzięczy się „pięknem za nadobne".

Powrót na poprzednie pozycje, na „stare graty" wypadł lepiej, a piosenka: „Jak ja pujdę do wieśniaka na kwatere spać,.." rozlegała się przez cały czas marszu.

24 luty.

W dalszym ciągu umacniamy Górę Mirową i życie płynie bez nadzwyczajnych wydarzeń.

25 luty.

Otrzymaliśmy rozkaz przerwania robót fortyfikacyjnych.

6 luty.

O godzinie 6 rano Czesi wycofali się...

W godzinę później udałem się na patrol i przeszedłszy przeszło dwa kilometry, zawróciłem z powrotem, nie spotkawszy ani jednego „pepika".

O godzinie 10-tej wypłoszyły mnie strzały na lewem skrzydle naszego frontu i udawszy się na Górę, Mirową, stwierdziłem, że huki wystrzałów pochodzą ze strony czeskiej, hen za wsią Iskrzyczynem.

7 luty.

Z rozkazu dowódcy frontu „Kompanja Radomska" wyruszyła do miasta Skoczowa, gdzie się dowiedziałem, że wyjeżdżamy najbliższym pociągiem do kadry 24 pułku piechoty, stacjonowanej w Radomiu.

Front Białrusko-Litewski.

18 lipca 1919 roku na stacji w Kozienicach pożegnali mnie koledzy z pułkownikiem Kluczyńskim, dowódcą baonu zopasowego 24 p. p. na czele i kompanja marszowa, serja 4 pod mojem dowództwem wyruszyła na front, aby po upływie kilku dni spotkać w Lidze cały sztab i oddziały pułku.

Zameldowałem się u dowódcy pułku i otrzymałem przydział do kompanji 6/II baonu.

Wkrótce, bo dnia 29/VII pułk nasz zmienił 5 p. p. Leg. pod Kurzeńcem i obsadził odcinek bojowy na prawo od toru kolejowego Mołodeczno-Połock aż do rzeki Wilji przez Plipowicze wzdłuż drogi Kłynie-Małomygi.

Dowódcą baonu jest porucznik Jan Ogrodnik-legjonista, powszechnie lubiany przez oficerów i żołnierzy naszego pułku.

Życie na froncie z dnia na dzień upływa wśród strzelaniny, patrolowaniu przedpola, w nocy wystawianiu placówek i czujek.

Do dnia 6 sierpnia już zżyłem się ze wszystkimi oficerami i nawiązałem serdeczny kontakt z doktorem baonowym ppor.-lekarzem Mroczkowskim, który nie należał do kategorji „łapiduchów, co to kryją się na tyłach, ale ciągle przebywał na froncie i w miarę potrzeby spieszył z pomocą, dlatego też polubiłem go i zawsze mile wspominam.

Dzień 6 sierpnia był dniem ożywienia na całym froncie, gdyż zaczęła się ofenzywa z naszej strony na wschód w kierunku Dołginowa.

Forsowne marsze... Łuny pożarów wskazują drogę, którą się nieprzyjaciel cofa, a huki granatów, trzaski karabinów towarzyszą nam, aż do chwili zajęcia w dniu 15/VIII miasta Dołginowa.

Tu następuje koncentracja pułku i podział na dwie grupy, z których jedna w składzie wszystkich kompanji I baonu odchodzi pod dowództwo pułkownika Beliny-Prażmowskiego, dowódcy grupy jazdy, druga zaś składającą się II i III baonów pozostaje pod rozkazami dowódcy pułku 24, płk. Bejnera i wchodzi w skład VIII dywizji piechoty.

O świcie dnia 20/VIII baon nasz zaatakował Porpiliszcze i po ciężkiej walce wyparł bolszewików, choć na całym odcinku mieli oni zasieki druciane i współudział dobrej artylerji.

Kowalewo.

Dzisna zajęta przez I baon, ja zaś z kompanją 6-tą obsadziłem odcinek we wsi Kowalewo. Walki trwają bez przerwy, ale tak mi się zdaje, że z mniejszem zacięciem, gdyż bolszewicy mają już nas dosyć...

Łączę z kompanją por. Chroł-Frołowicza.

Dzień śliczny, słoneczny i ciepły, a jednak coś wisi w powietrzu, bo ludzie we wsi są dziwnie podenerwowani i wystraszeni...

Zdziwiony tym stanem rzeczy, postanowiłem spytać się o przyczynę strachu mego gospodarza.

Jest to staruszek około lat 65 do 70, siwa broda sięga aż do pasa, oczy ma niebieskie i cały wygląd mówi, że człowiek ten w modlitwie i pracy spędził całe swoje życie.

„Dlaczego, staruszku, dziś we wsi ludzie są tak wystraszeni?" — zapytałem.

„Każe, pane poruczczyku budiet segodnia sraženie"...

To oświadczenie starca zdziwiło mnie, gdyż na odcinku nic nie zapowiadało, abyśmy dziś mieli stoczyć walkę...

Rozważyłem nasze położenie ogólne i po namyśle zdecydowałem się wydać zarządzenie sierżantowi Kondeli umocnienia okopów i po sprawdzeniu, że rozkaz mój został wykonany, zamierzałem wrócić na

kwaterę, która się tuż przy okopach znajdowała i spożyć obiad.

Wtem spokój tego dnia słonecznego przerwał daleki wystrzał armatni, a w chwilę później pozycja nasza została obsypana pociskami artylerji bolszewickiej.

Obiad się spalił... gdyż w niespełna pół godziny bolszewicy przypuścili atak na nasze stanowiska.

Silny ogień artylerji demoralizuje żołnierzy. Biegam od stanowiska do stanowiska i zachęcam kompanję do wytrwania...

Walka dochodzi do punktu kulminacyjnego... Żołnierze zaczynają uciekać grupami. Wpadam formalnie w furję, klnę na czem świat stoi, ale to nie pomaga...

Panika ogarnęła kompanję, a to wskutek celnego i silnego ognia artylerji bolszewickiej, a na dobitkę złego odcinek jest taki duży.

Wstyd... Co powiedzą moi koledzy pułkowi o mnie i kompanji 6-tej?—

Na sąsiednim odcinku ta sama historja i widzę, jak na dłoni, że w podobnem położeniu znajduje się por. Chroł-Frołowicz...

Jak wyjść z tej sytuacji?

Pytanie to błyskawicznie powstało w mym mózgu.

Wytrwać, wytrwać lub zginąć zadecydowałem.

Daję znak najbliżej stojącym żołnierzom, gdyż huk pocisków zagłuszu głos i zebrawszy ich kilkunastu ruszam naprzód na spotkanie wroga.

„Bagnet na broń" — wydaję rozkaz w marszu i wolno, ale zdecydowanie sunie tyraljerka...

Teren Kowalewa fałdzisty. Nasza tyraljerka, robi takie wrażenie jak gdyby cała kompanja szła do ataku.

W tym czasie, kiedy wchodzimy na wzgórze przed wsią Kowalewo, obejrzałem się i widzę, jak reszta kompanji porwana naszym przykładem, zawróciła i spieszy nam z pomocą. Po zajęciu wzgórza posuwamy się naprzód w karabinowym ogniu bolszewików, których mamy tuż przed sobą i dokładnie rozpoznajemy nawet gwiazdki na ich czapkach.

Gorączka walki ogarnęła moich zuchów, a kiedy krzyknąłem: „naprzód, hurra" z piersi wiary, jak grzmot wyrwał się okrzyk i z najeżonemi bagnetami rzuciliśmy się na „mochów".

Cud czy nie cud?...

Bolszewicy uciekają... Strzelamy stojąc i ciągle siedzimy na piętach czerwonogwardzistów.

Pozostała część kompanji dołącza i całą siłą spychamy wroga do rzeki Dźwiny.

Pobojowisko zasłane trupami. Żołnierze zrywają gwiazdki i chowają sobie na pamiątkę. W nurtach rzeki Dźwiny znalazło śmierć wielu bolszewików nielicznym udało się uciec, reszta dostała się do niewoli.

Tak się zakończyła walka o wieś Kowalewo, która w końcowym wyniku dała nam zwycięstwo.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Po stoczonych walkach pułk otrzymał pochwałę i obsadził rzekę Dźwinę na przestrzeni 70 kilometrów, przygotowując, się do zostania przez okres zimy na zajętych stanowiskach.

Marsz w Kierunku Dźwiny.

Zachowując dalekoidącą ostrożność posuwamy się w kierunku miasta Plisy.

Żywności mamy poddostatkiem, amunicji nam nie brakuje i gdyby nie forsowne marsze, aby nawiązać styczność z nieprzyjacielem, wszystko byłoby w porządku...

Jestem wprawdzie młodszym oficerem kompanji 6-tej, ale zastępcą dowódcy kompanji i czuję się doskonale.

W tej samej kompanji znajduje się podchorąży Zaremba z Radomia.

Stary to znajomy...

Z podziwem patrzę na tego chłopa, który jest wątły i słaby, a z samozaparciem znosi trudy wojenne.

W marszu na Plisę kompanja 6 idzie na czele pułku, jak przednie ubezpieczenie, a mój pluton jako szpica.

Posuwamy się torem kolejowym, a za nami ciągną kompanje, tworząc wśród tumanu kurzu olbrzymią kiszkę, poruszając się, jak wąż.

Czuć bliskość nieprzyjaciela... Żołnierze zwalniają tempo marszu, muszę więc zachęcać ich i sam wyciągam nogi... Zaremba jest przy mnie i choć nadrabia miną, widzę, że jest wyczerpany.

Za chwilę zaczyna się strzelanina... Brawurowo żołnierze posuwają się naprzód, gdyż gorączka walki zapala nieraz najtchórzliwszych, których zawsze porywa przykład dzielnego żołnierza i siłą faktu, co niejednokrotnie stwierdziłem, koło takiego „morowca" tworzy się mała grupka

Podporucznik Leopold Ślizowski, mój serdeczny przyjaciel, przychodzi nam na pomoc z „maszynkami" i praży bolszewików.

Zajmujemy Królewszczyznę, następnie stację kolejową Podswilję i ścigamy wroga, aż do Plisy.

Kompanja 6 w niebywałym nastroju śpiewa, gdy w tym czasie bolszewicy w panice ratują się ucieczką na czółnach przez jezioro...

Przybywamy do Plisy i pułk przechodzi do rezerwy grupy.

Podporucznik Malec zachorował, wskutek czego objąłem dowództwo 6 kompanji, a podchorąży Zaremba ma silną gorączkę i prawdopodobnie odejdzie do szpitala.

Chłopiec jest wyczerpany i żal mi go serdecznie.

Dziwny z niego człowiek: w słabem ciele mocna dusza...

Na postoju w rezerwie grupy miałem sposobność przekonać się, że żołnierze przywiązali się do mnie. gdyż ordynans mój, który miał wyjątkowy mir i za dzielność był lubiany w kompanji, przyszedł i powiedział mi, że z okazji objęcia przezemnie kompanji panuje powszechna radość.

Przyznam się szczerze, że wiadomość ta sprawiła mi przyjemność, gdyż żołnierz na froncie najlepiej umie ocenić swego dowódcę, choć nie powie tego otwarcie, gdyż dyscyplina wojskowa nie pozwala na tego rodzaju wylewanie uczuć.

Ze swej strony pokochałem wiarę, gdyż poznałem już wartość naszego żołnierza podczas minionych walk i wiedziałem, jak należy postępować, by rezultat naszych wysiłków był najlepszy a kompanja zdobyła dobrą opinję w pułku.

Do dnia 4/IX staliśmy na kwaterach w rezerwie grupy, później zaczęły się forsowne marsze w kierunku na Łużki i ofenzywa na Dźwinę nabrała żywego tempa biorąc kierunek wprost na Dzisnę.

W zwycięskim marszu zajęliśmy Kobyliszczyznę, Sokołowszczyznę i wobec przeważających sił nieprzyjaciela zatrzymaliśmy się na linji Rumpol-Kuchtince.

Tu zaczęła się robota nie na żarty...

We dnie i w nocy ataki, haratanina, aż do znudzenia...

BASENKI TRZECIE.

W miejscowości Basenki Trzecie zmieniłem kompanję techniczną ppor. Marka Kowalskiego z Radomia i starego kompann z I brygady.

Marek zapoznał mnie z terenem i podzielił się ze mną uwagami, jakie poczynił podczas swego pobytu w Basenkach.

Wykorzystując każde załamanie, każdy krzaczek w terenie niespostrzeżenie wycofała się kompanja techniczna, a nowe dziedzictwo objęła wiara 6 kompanji.

Pożegnawszy się z Markiem i jego bratem Stefanem obszedłem jeszcze raz odcinek kompanji i sprawdziłem, że wszystko jest w porządku.

Powracając do mieszkania, gdzie sobie obrałem kwaterę na dowództwo kompanji znienacka zostałem

obsypany gradem kul z karabinu maszynowego, ale szczęśliwie wyszedłem, gdyż ani jedna mnie nie drasnęła.

Gospodarz domu, choć Rosjanin, nienawidził z całej duszy bolszewików, a że znał dobrze teren i widział cofające się oddziały bolszewickie, więc w rozmowach z nim wysnułem odpowiednie wnioski i zaraz zameldowałem telefonicznie dowódcy II baonu.

Na drugi dzień po zajęciu Basenek wysłałem patrol z trzech ludzi w kierunku rzeki Auty, pouczywszy poprzednio, jak mają się posuwać, by nieprzyjaciel ich nie spostrzegł.

Po upływie godziny powrócili żołnierze z patrolu, przyprowadzając dwóch jeńców — czerwonogwardzistów, których odesłałem pod eskortą do dowództwa baonu.

O godzinie 15-tej tego dnia przybył na nasz odcinek obserwator z artylerji, któremu wskazałem linje nieprzyjacielskie i nie upłynęło 10 minut, jak artylerja zaczęła prać co się zowie.,.

Prawdziwe piekło.

Przeciwnik też nie próżnuje i zasypuje nas ogniem granatów.

Pod wieczór wszystko ucichło, a tylko placówki od czasu do czasu przerywały spokój nocy, spędzając patrole nieprzyjacielskie z przedpola.

10 sierpnia otrzymałem rozkaz zwinięcia linji telefonicznej i przygotowania się do ataku na wieś Zautje, gdy tymczasem kompanje 5 i 7 miały wykonać manewr.

ZAUTJE.

Wydałem odpowiednie rozkazy i poszedłem

z oficerem — artylerji szosą w kierunku lasku brzozowego, który znajdował się przed naszemi pozycjami, by obejrzeć stanowiska nieprzyjacielskie.

Nie uszliśmy 200 kroków, gdy zostaliśmy zasypani ogniem karabinów maszynowych i korzystając z tego odkrycia powróciliśmy do swoich.

Po krótkiem przygotowaniu ogniowem artylerji, kompanja 6-ta ruszyła, stosownie do rozkazu, operacyjnego dowódcy baonu, do ataku.

Wszyscy oficerowie baonu przy pracy...

Kompanja naciera szosą wprost na wieś Zautje. Bolszewicy bronią się zaciekle.

Por. Ogrodnik i ppor. Leopold Ślizowski znajdują się przy kompanji 6-tej.

Co chwila robi się cieplej...

Mam wielką ochotę pokazać starszym kolegom, co to znaczy kompanja, której jestem dowódcą...

„Naprzód" — krzyknąłem i wśród ognia nieprzyjacielskiego żołnierze zerwali się i prą naprzód.

Pędzimy jak opętani...

Strzały zaczynają cichnąć. Wpadamy na bolszewików i zabieramy dwa karabiny maszynowe i kilkudziesięciu jeńców.

Por. Chroł-Frołowicz i ppor. Karol Kurek spisali się podczas walki, manewrując swemi kompanjami i szachując bolszewików.

Inne oddziały nasze zdobyły trzy działa i przeszło stu kilkudziesięciu jeńców.

Po wysiłkach tego dnia zajęliśmy pozycję nad rz. Autą.

USTJE.

W tem miejscu, gdzie rzeka Dzisna wpada do Dźwiny, znajduje się mała wioska Ustje.

Pozycja wstrętna... Bolszewicy mają przewagę nad nami, gdyż teren, który zajęliśmy nie pozwala nam na najmniejszy choćby ruch, bo pozycje nieprzyjacielskie dominują nad naszemi, położonemi w dole.

Mam rannych w kompanji i troską moją jest uchronienie kompanji od niepotrzebnych strat.

Jestem wściekły, jak szerszeń z tego powodu, że bolszewicy mogą wystrzelać mi ludzi, jak kaczki na wodzie, a ja ze względu na teren nie jestem w stanie rozwinąć ognia karabinowego i zmusić przeciwnika do chwilowego choćby milczenia.

Zadaniem kompanji 6, było uniemżliwić bolszewikom przeprawę przez rzekę Dzisnę, i za wszelką cenę utrzymać się na zajętej pozysji...

Aby uchronić żołnierzy od celnego ognia nieprzyjacielskiego, wydałem rozkaz skupienia się kompanji we wsi i wykorzystując osłonę chałup przystąpić do zwalczania ognia wrażych karabinów maszynowych.

Wybrałem najlepszych strzelców i rozstawiłem za węgłami budynków, wskazując im odpowiednie cele. Reszta kompanji spoczywa leżąc pod ścianami chałup, które chronią żołnierzy od kul przeciwnika.

Po kilkugodzinnej walce bolszewicy zaczynają wycofywać się, pozostawiając rannych i unieszkodliwione karabiny maszynowe.

Obserwuję przez lornetkę polową i widzę, jak pojedyńczo uciekają w kierunku północno-wschodnim.

Jeśli zastanawiam się nad walką w Ustjach, dziś cieszę się z tego posunięcia, że miast trzymać się utartych sposobów walki, uchroniłem kompanję od większych strat, całą zaś akcję zwalając na doborowych strzelców, którymi łatwiej mi było kierować,

a cel i tak został osiągnięty przy użyciu niewielkiej ilości ludzi.

Naturalnie, że była to okoliczność nadająca się do zastosowania wymienionego sposobu walki, gdyż bolszewicy nie posiadali artylerji.

Kompanja 3 w odwrocie.

Kompanja trzecia, w której byłem dowódcą, miała w czasie odwrotu powierzane różne zadania i wychodziła zwycięsko z każdego położenia, z każdej sytuacji, zyskując sobie coraz większe uznanie w pułku.

Ludzie wśród ustawicznych walk zahartowali się i w boju każdy dawał sobie radę, co też ułatwiało dowodzenie.

Stoczone bitwy pod Białymstokiem, Grabówką, Jabłonką, Sokółką i Gołymstokiem zaryły się głęboko w pamięci, a kompanja trzecia dała dowody wytrzymałości i karności żołnierskiej.

Z przyjemnością i z zachwytem nieraz patrzyłem na tych zuchów kompanji trzeciej w czasie walki, jak wysiłkiem mózgu i mięśni przyczyniali się do zwycięstwa i sławy żołnierza polskiego.

Kompanja moja wchodziła w skład pierwszego bataljonu 24 pułku piechoty, gdzie oficerowie, podoficerowie i żołnierze tak byli zżyci między sobą, że chwilami zdawało mi się, że to najbliższa rodzina...

Wśród szalejącej zawieruchy wojennej baon pierwszy cofając się krok za krokiem czynił spustoszenia w szeregach wrażych, a kompanja trzecia miała wiele okazji do popisu i wykazania swej tężyzny.

Mianowicie w Białymstoku otrzymałem rozkaz

bronienia odwrotu 24 pułku piechoty i innych cofających się oddziałów. Przydzieloño mi jedno działo i pewien pułkownik z artylerji zwrócił się do mnie w te słowa:

„Panie poruczniku brońcie pozycji do upadłego i raczej umrzyjcie, niż mielibyście opuścić stanowisko i pozwolić nieprzyjacielowi napaść na cofające się oddziały... Musicie zginąć, by innych ratować..."

Ładna perspektywa — pomyślałem.

Ale cóż robić? Stosownie do otrzymanego rozkazu, zrobiłem barykady na ulicy i po krótkiej przemowie do starej wiary, postanowiłem zawzięcie bronić pozycji i drogo sprzedać życie.

Łuny pożarów widać wokoło i daleki grzmot wystrzałów armatnich zaczyna cichnąć, tylko strzały karabinów ręcznych i maszynowych z każdą chwilą zbliżają się do nas....

Oddziały wojsk polskich wycofują się według nakreślonego planu i dziwne uczucie ogarnia człowieka kiedy widzi, jak ostatni żołnierz naszego pułku znika za domami na skraju miasta.

Na twarzach żołnierzy moich ukazał się wyraz skupienia i dziwna powaga osiadła na czołach tych młodych chłopców.

Zdają sobie sprawę z powagi sytuacji w jakiej się znajdujemy i wierzę, że będą się bili, jak lwy, dopóki im sił tylko starczy.

Sprawdziłem wszystkie czujki i od strony nieprzyjaciela spojrzałem na naszą „warownię". Działo groźnie wygląda na tle małych murowanych domków w wąskiej ulicy miasta, a wyrwane z bruku kamienie stanowią zasłonę przed pociskami nieprzyjacielskimi i przed możnością wglądu w nasze pozycie.

Jakiś zabłąkany i okrwawiony żołnierz nawinął mi się przy drodze.

Zaprowadziłem go do mego sanitarjusza i po założeniu opatrunku wysłałem śladem cofających się oddziałów.

Świtało, gdy zabrano mi działo... Widzimy, jak w odległości kilometra posuwa się pułk, a długi wąż kolumny wije się wzdłuż szosy i pomału znika na horyzoncie.

Żegnamy wzrokiem wszystkich starych towarzyszy z którymi przebyliśmy tyle ciężkich chwil... Jakby to było przyjemnie razem dokończyć wojnę... Trudno, musimy zostać, gdyż rozkaz dla nas jest rzeczą świętą.

Coraz częściej pociski artylerji bolszewickiej przelatują ponad naszemi głowami i ciszę poranka raz po razu przerywa huk rozrywającego się szrapnela lub granatu...

Przygotowani do zaciętej walki na śmierć i życie czekamy...

Długie chwile płyną wolno... Wtem wśród tumanu kurzu ukazuje się jeździec na drodze po której przechodził pułk. Wkrótce rozpoznajemy porucznika Bukowicza, adjutanta pułku, który mi wręczył rozkaz opuszczenia pozycji i posuwania się za pułkiem, jako straż tylna.

Szybko wydałem rozkazy i kompanja zwinęła odcinek bojowy.

Po załadowaniu karabinów maszynowych na wózki, ruszyliśmy w drogę. Żołnierze odzyskali dawny humor i zaciętość znikła, tylko od czasu do czasu, jakby westchnienie ulgi wyrywało się z piersi tego lub owego zucha.

Sznury łazików ciągną przez pola. Na skraju

lasu ukazują się konne patrole bolszewickie i wzmaga się trzask karabinów maszynowych... Piechota bolszewicka zajmuję Białystok. Z żalem spoglądamy w stronę naszej warowni, która kosztowała nas dość dużo pracy...

Sokółka.

Zmierzch zwolna zapadał, gdy przybyliśmy po forsownym marszu do Sokółki, by bronić stacji kolejowej i umożliwić wycofanie się pociągów, przez czas dłuższy tu nagromadzonych.

Wszystkie linje zajęte i z rozpaczą prawie patrzę, na bogactwo taboru kolejowego. Mimowoli dreszcz przebiega przez ciało i rodzi się pytanie czy wszystkie pociągi zdążą w porę wycofać... Nieprzyjaciel uporczywie depcze nam po piętach...

Kompanja trzecia otrzymała rozkaz bronienia linji kolejowej i do zapadnięcia nocy winna obsadzić pobliskie wzgórza, łącząc na lewo z kompanją drugą naszego baonu.

Aby ułatwić posuwanie sią najkrótszą drogą moim żołnierzom, postanowiłem szybko rozejrzeć się w terenie. Wsiadłem więc na konia i wyminąwszy kompanję przez żyta puściłem się pełnym galopem w kierunku, gdzię przypuszczalnie winny znajdować się wzgórza o których wspominał mi dowódca baonu.

Tuż za mną w marszu ubezpieczonym posuwa się kompanja.

Nie ujechałem od szpicy i pół kilometra, gdy zauważyłem, ni stąd, ni zowąd, jeźdźców, którzy na mój widok zawrócili i skryli w cieniu drzew...

Zatrzymałemy konia, starając się wykorzystać nierówność terenową i zbadać bliżej sytuację przez

rozpoznanie tajemniczych jeźdźców. Wytężam słuch i do mych uszu dobiega szept rozmowy, prowadzonej w języku rosyjskim. Prawie jednocześnie wyjmując szablę jeden z jeźdźców rzuca w mą stronę: „Kto tam?"

W odpowiedzi palę z rewolweru i zawracam do swoich co koń wyskoczy, ścigany gęstemi strzałami karabinowemi.

Z nieprzyjacielem nawiązana styczność.

Dopadłem wkrótce szpicę i wydawszy rozkaz obstrzelania przeciwnika obsadziłem kompanją wzgórza, przygotowując je do obrony.

Okopujemy się i wystawiamy placówki, posilając się kawą i chlebem, gdyż właśnie w tym czasie przyjechała kuchnia.

Po całodziennym marszu skromny posiłek bardzo smakuje, a kawałek chleba wydaje się prawdziwym smakołykiem...

W nocy cisza. Placówki czuwają, reszta kompanji chrapie, aż miło. Łączność z sąsiadami lewego i prawego skrzydła nawiązana. Noc przeszła spokojnie, dopiero o świcie zaczęły się ukazywać tyraljery bolszewickie i zasypywać nas ogniem karabinów maszynowych i artyleryjskim.

Dzień pogodny i słoneczny. Na wszystkich odcinkach razgorzała walka na całego... Bolszewicy przypuścili zaciekły atak.

Rechot karabinów nie ustaje ani na chwilę.

Gorączka walki porywa żołnierzy... Mam w kompanji dwie „maszynki", które działają bardzo sprawnie i robią swoje...

Widać, jak bolszewicy załamują się w ogniu naszych karabinów i zaczynają się okopywać. Utrudniamy im robotę, jak tylko w tych warunkach można,

Mimo chwilowych sukcesów dziwnie źle się czuję i jakaś wewnętrna siła nakazuje mi mieć się na baczności od strony samej Sokółki. Biorę lornetkę polową i obserwuję miasto... O dziwo... Na naszych tyłach mamy jazdę bolszewicką, która szarżuje na cofające się oddziały piechoty.

W pewnym momencie wyłania się z za domów szarża kawalerji i załamuje się w ogniu pancerki naszej, która praży celnymi strzałami tuż z pod samej Sokółki.

Przed odcinkiem mojej kompanji jest dobrze, bo bolszewicy nie mogą ruszyć ani kroku, tylko, gdy spojrzałem w tył za siebie, sytuacja pogorszyła się: w odległości kilometra na równej z nami wysokości po błoniu posuwają się oddziały przeciwnika...

Kompanja druga I/24 pułku piechoty opuszcza pozycję i należy ułatwić jej odwrót.

Zarechotały znów moje karabiny maszynowe i grad pocisków zasypał linje prowizorycznych okopów bolszewickich.

Bodaj jeszcze kilka chwil utrzymać się na pozycji.

Ostatni pociąg opuszcza stację w Sokółce. Podziwiam sprawność kierownika ruchu, który w tak krótkim stosunkowo czasie, zdołał wywiązać się z trudnego zadania i ocalić cały tabor kolejowy.

Pancerka przy pracy, powstrzymuje dzielnie napór sił przeciwnika.

Z każdą chwilą sytuacja pogarsza się, więc trzeba pomyśleć o odwrocie. Wycofuję karabiny maszynowe i pod osłoną ognia pojedyńczego moich strzelców stopniowo zwijam odcinek, aby na szosie pod Sokółką połączyć się z całym baonem.

Znów odwrót... Mam wrażenie, że za chwilę

wyrwie się z piersi żołnierzy okrzyk: „my chcemy się bić...“

Ambicja żołnierza odgrywa pierwszorzędną rolę w wypadkach najbardziej krytycznych, a wychowanie przez oficerów i obudzenie rozumnego patrjotyzmu znajduje częstokroć w duszach tych szarych bohaterów zdrowy odruch. Tak jest i w tym wypadku, bo żołnierze idą niechętnie i nie spiesząc się wcale, co chwila oglądają się za siebie, ale nie ze strachu, tylko każdy z nich chciałby przypadku czy czegoś podobnego, aby pozwolił na wyładowanie energji w boju na bagnety i poskromieniu zapędów przeciwnika.

Oho, — słyszę — za bardzo sobie panowie bolszewicy pozwalają, myślą, że im to tak zawsze będzie szło. Niedoczekanie wasze, abyście nam dali w skórę — synki... To żołnierze trzeciej kompanji pomrukują groźnie, przyrzekając sobie „odkuć“ się na „mochach“ przy pierwszej okazji.

Żołnierz chce się bić, gdyż znużyły go ciągłe marsze a przytem trudno mu się pogodzić z myślą, że jest zwyciężany... Chce sam zwyciężać...

Pod Sokółką dostał się do niewoli podporucznik Kamiński który teraz jadąc obok mnie opowiada mi własne wrażenia.

Otóż kiedy jazda bolszewicka wpadła znienacka do Sokółki Kamiński nie zdołał „wywiać“ i wpadł w ręce Kozaków, którzy zdążyli mu nawet zdjąć buty... Ogień pancerki ułatwił mu ucieczkę, gdyż bolszewicy spodziewali się, że z naszej strony nastąpi kontratak. Powstała w ich szeregach panika, z której skorzystał Kazio i drapnął do nas, a teraz żywo opowiada ciekawą historję, z której się śmieje aż do rozpuku.

Przyznam się szczerze, że nie była to odpo-

wiednia chwila do śmiechu, gdyż Kamińskiemu groziła niezawodnie śmierć, a w najlepszym wypadku długotrwała niewola, ale nerwy moje przez pobyt na froncie miałem znieczulone na wszelkiego rodzaju „rozkrochmalenia".

Walki, ubezpieczenia, marsze i wyścig pracy trwał, aż do tej chwili, dopóki nie ujrzeliśmy murów stolicy.

Stare lwy i młodzi bohaterowie.

14 sierpnia 1920 roku zakończył się odwrót 24 p. p. z nad Berezyny i pułk załadowano do pociągów, które przewiozły nas przez Warszawę-Koluszki-Skarżysko-Dęblin-Trawniki do Rejowca, gdzie pozostajemy w rezerwie 2 dywizji piechoty.

Kwatery w mieście i odpoczynek kilkodniowy...

Wypoczywamy, aż serce się raduje... Stare lwy, żołnierze mojej kompanji, czyszczą broń, doprowadzają rynsztunek do porządku, śpiewają podczas zajęć wesołe piosenki żołnierskie i w wolnych chwilach od pracy uganiają się za „sukienkami".

Krążą pogłoski, że w krótkim czasie mamy po odpoczynku wejść w kontakt z nieprzyjacielem, a robota ma być nader interesująca...

W Rejowcu otrzymałem uzupełnienie kompanji przez przydzielenie mi ochtników, którzy przybyli tu z kompanją marszową.

Ucieszyłem się bardzo, gdyż podczas ustawicznych walk w odwrocie liczba żołnierzy spadła do stanu 40...

Starzy żołnierze z lekceważeniem spoglądają na przyszłych bohaterów i nie kryją się z wyrażeniem opinji, że długo na froncie „paniczykowie nie pobędą.

Ale ochotnicy trzymają się dzielnie i naśladują swych kolegów, spełniając obowiązki z samozaparciem i „trzymają fason".

Pomału kompanja się zgrywa, zacierają się różnice, bo element ochotniczy, to uczniowie gimnazjum z Opatowa...

Polubiłem tych młodych zuchów i byłem święcie przekonany, że w najbliższej przyszłości pokażą, co umieją.

Przypuszczenia moje okazały się słusznemi: w bitwach chłopcy trzymali się na równi ze starą wiarą i z ciężkich opresyj wychodzili zawsze z honorem, dając dowody męstwa począwszy od nocnego wypadu na miejscowość Matczę, a skończywczy na bitwie pod Wilejką.

Nocny wypad na Matcze.

Pod wieczór dnia 31. VIII por. Żółkiewski wezwał do siebie dowódców kompanji i oświadczył, że wypad na przyczółek mostowy Matcze-Korytnica mam poprowadzić osobiście w składzie 3 i 4 kompanji, zaś 2 zostanie w rezerwie baonu.

Zadaniem oddziału wypadowego byłoby opanować przyczółek mostowy, obsadzony przez bolszewików i po wypędzeniu wroga za Bug, wrócić do baonu.

Z mapy, którą posiadał jedynie dowódca baonu, zorjentowałem się, że mogę wykonać zadanie, idąc wprost drogą prowadzącą na Matcze, wpoprzek której znajdują się dobrze ufortyfikowane pozycje nieprzyjacielskie i zasieki druciane lub posuwając się wzdłuż rzeki, uderzyć na nieprzyjaciela zboku.

Ponieważ za dnia nie widziałem terenu, przeto po dokładnem przestudjowaniu mapy, stworzyłem sobie w mózgu obraz wszystkich załamań terenowych i plan wykonania wypadu powstał niespodziewanie, by w kilka godzin później wcielić go w czyn.

W miejscowości Cegielni zatrzymał się cały baon już późną nocą.

Stąd po uszykowaniu oddziału wypadowego i wydaniu odpowiednich rozkazów ruszyliśmy naprzód, posuwając się wzdłuż rzeki.

Drogę tą wybrałem dlatego, gdyż spodziewałem się, że bolszewicy koło rzeki będą mieli słabiej u-

mocnione pozycje i to pozwoli mi łatwiej wykonać zadanie i zaoszczędzi strat w ludziach.

Noc ciemna, że oko wykol, a na odległość jednego kroku nic absolutnie ujrzeć nie można...

Obliczyłem, że jeśli nam się uda podejść blisko nieprzyjaciela to zadanie opanowania przyczółka mostowego będzie szybko wykonane, a walkę rozstrzygnie bój na bagnety.

Kompanje uszykowałem w dwóch linjach w ten sposób, że prawe skrzydło to kompanja 3, lewe zaś 4, a dwa plutony trzymałem w drugiej do mojej wyłącznej dyspozycji, by w pewnym momencie, gdy zajdzie potrzeba, wzmocnić uderzenie.

Przed pierwszą linją w odległości kilkudziesięciu kroków wśród najgłębszej ciszy posuwają się szperacze.

Wytężam wzrok, ale djabelska ciemność nie pozwala nic a nic zobaczyć... Cały zamieniam się w słuch.

Cisza... Życie zamarło. Co się dzieje? W tym momencie podchodzi ostrożnie do mnie sierżant Chmielewski i melduie, że szperacze trzeciej kompanji zauważyli placówki bolszewickie i stwierdzili, że zasieków drucianych na odcinku przed kompanją niema.

Odetchnąłem z ulgą... Sytuacja się wyjaśniła i z prawdziwą radością wydałem rozkazy, by rozpocząć krótki, ale gwałtowny ogień, najwyżej przez dwie minuty i rzucić się na wroga...

Plutony, które były w drugiej linji skupiłem za wzgórzem, by łatwiej w razie potrzeby nimi dysponować.

Z chwilą, kiedy kompanje dotarły na wysokość

linji szperaczy, rozpoczął się się silny ogień karabinowy.

Ciszę i ciemność nocy przerwały raptownie huki wystrzałów i błyski ognia, wydobywającego się po każdym wystrzale z luf karabinów naszych żołnierzy.

W odpowiedzi bolszewicy puścili w ruch karabin maszynowy, nie wystrzelali i pół taśmy, kiedy z piersi żołnierzy oddziału wypadowego wyrwało się gromkie: „hurra..."

Pędzimy naprzód. Nieprzyjaciel ucieka za Bug i po długiej chwili strzela do nas salwami karabinowemi

Zadanie wykonane. Mam jednego rannego i zdobyty karabin maszynowy bolszewicki.

Sierżant Chmielewski i Uczkiewicz w akcji tej zasłużyli na pochwałę i spisali się dzielnie, a żołnierze obydwu kompanij zdali egzamin sprawności i karności bojowej.

Brawurowy wypad na Matczę-Korytnicę zakończył się zwycięstwem i kompanje 3 i 4 z pieśnią na ustach wróciły do Cegielni, by połączyć się z dowództwem baonu.

Zamość.

24 p.p. po forsownych marszach przybył w dniu 9. IX 1920 roku do Zamościa i pozostaje do dnia 22. IX, jako rezerwa armji.

W tym samym czasie zawitał propagandowy teatr ze znaną artystką Ordonówną. Ile radości z tego powodu... Od dawna człowiek nie stykał się ze światem artystycznym — gdyż ciągłe walki nie pozwalały nawet pomyśleć o takim luksusie a tu w dodatku i niespodziewanie taka przyjemność...

„Ordonka" czaruje pieśnią polską i wzbudza niekłamany zapał wśród widzów... Byłem na przedstawieniu i jak szalony wyrażałem swe zadowolenie, bijąc zasłużone brawa. Jaki to inny świat w tym Zamościu!

Kilka dni wypoczynku wystarczyło w zupełności, aby zaopatrzyć się w energję, i odzyskać tężyznę ciała po przebytych trudach.

22. IX 24 p. p. zdąża na stację kolejową, aby znów w kilka dni później wpisać do historji pułku nowe karty z przebytych zwycięskich bojów za Polskę.

Odwrót.

Wobec przeważających sił bolszewickich zaczął się pewnego dnia odwrót...

Dziwnie wyglądał odwrót wojsk polskich czy to z nad Berezyny, czy też z nad Dźwiny. Walki bezustanne... Wysiłki nadludzkie... Marsze forsowne i co raz to nowe niespodzianki, wynikłe z takich czy innych sytuacyj bojowych. Drogi zapchane taborami, a nieprzyjaciel tuż... więc trzeba bronić taborów, by nie wpadły w ręce wroga. To znów park artylerji naszej nie zdążył na czas wycofać się i... znów walka.

W pewnych momentach oddziałom naszym udaje się powstrzymać napór sił wroga, a wtedy na dzień lub dwa tworzy się ciągła linja, aż do tej chwili, dopóki niespodzianka nie zmusi nas do odwrotu, bo tam gdzieś przerwano front i grozi niebezpieczeństwo oskrzydlenia...

Na dworcach kolejowych nagromadziły się pociągi, należy dać możność wycofania się i znów walka kilkugodzinna lub dłuższa.

Postoje krótkie, a w nocy ubezpieczenia, by nieprzyjaciel nie wpadł na nas znienacka, wyścig mięśni i bohaterstwa przy każdej okazji brak żywności, marsze w dni upalne, dżdżyste lub nocą po nieznanych terenach naprzełaj przez pola zorane — to

obraz odwrotu wojsk polskich z nad Dźwiny i Berezyny...

Lasy, piachy, błota, insekty, zmiany temperatury, nieprzespane noce, częstokroć wyścigi maratońskie i ciągłe krwawienia, zbieranie rannych i choć zmęczenie dokucza, choć siły opadają, jednak należy wytrzymać i nie pozwolić, aby ranni wpadli w ręce wroga.

Niezliczone przykłady ofiarności, bohaterstwa, poświęcenia i przyjaźni, niespotykanej w życiu codziennem, znamionują okres odwrotu, a karność żołnierza i jego wytrzymałość, znajduje tu świadectwo dojrzałości.

Nikt nie opisze, ani nie odtworzy tych wszystkich przeżyć, którę zaistniały w czasie odwrotu.

Z jakim żalem opuszcza żołnierz pozycję, na której mógłby się skutecznie zmagać z nieprzyjacielem, gdyby... nie otrzymał rozkazu do odwrotu, bo gdzieś tam na lewem skrzydle bolszewicy przerwali front.

O ile odwrót demoralizuje żołnierza, to jednak wspólne przeżycia łączą go nierozerwalnym węzłem z dowódcą szczególnie w okresie niebezpieczeństw i formalnie przykuwają do kompanji.

Kto raz przejdzie przez piekło tylu niebezpieczeństw odwrotu, ten pozna, że życie na froncie — to nie zabawka, że trzeba w grze często stawiać całą stawkę...

Żołnierz polski zdał egzamin sprawności bojowej i wykazał hart ducha i ciała i, mimo agitacji komunistycznej, nie dał się wziąć na lep czczych frazesów odwiecznego wroga narodu polskiego.

Całą nadzieją w najcięższych chwilach, podczas największej depresji duchowej, dla żołnierza naszego

był Wódz, Marszałek Józef Piłsudski, któremu wierzył bezgranicznie i ufał.

To też zaufanie to przerodziło się w miłość szczerą do Wodza i w najbliższej przyszłości zadecyduje o zwycięstwie nad najeźdźcą ze wschodu.

Hrubieszów.

Walki pod Hrubieszowem mają dla mnie znaczenie większe, niż wszystkie dotychczas stoczone, albowiem tu po raz pierwszy spotkałem się z kawalerją Budiennego i w dość niezwykłych okolicznościach.

Dnia 1.IX - 1920 roku I baon 24 p. p. otrzymał rozkaz wykonania przeciwuderzenia na atakującą oddziały 4 p. p. Legjonowej kawalerję bolszewicką.

Kompanja 3 forsownym marszem spieszy na ratunek 4 p. p. Leg...

Dowódca I baonu por. Żółkiewski na odprawie dowódców kompanij polecił mi, abym za wszelką cenę zajął pozycje 4 p. p. Leg. koło figury św. Jana, naprzeciw Hrubieszowa.

Mijamy krzyż przydrożny, obok którego stoi dowódca brygady major Smykal, były dowódca 4 p. p. Leg. i przyjaźnie wymachuje mi ręką, życząc powodzenia w akcji.

Pogoda, aż serce się raduje...

Szybko zbliżamy się do przeciwnika, aby wkrótce wpaść w sam wir walki.

3 kompanja w szyku rozwiniętym dochodzi na odległość 200 metrów do figury św. Jana i oczom naszym ukazuje się ciekawy i groźny zarazem widok.

Kolumny jazdy bolszewickiej w pełnym galopie atakują... Żołnierze 4 p. p. leg. w odwrocie. Nieliczne

BIBLIOTEKA
PARAFIA PW. NSJ
RADOM-GLINICE
101

grupki strzelają, cofając się i powstrzymują w ten sposób rozpęd atakującej kawalerji nieprzyjacielskiej.

Moment ten jest groźny, gdyż w pewnej chwili prócz kawalerji wroga, nie widać prawie czwartaków... Wszystko znikło, jakby pod ziemię się skryło...

Daje znak mojej kompanji zbiórki biegiem i żołnierze w jednej chwili ustawiają się w dwuszeregu.

— Pierwszy rząd z kolana, drugi gotuj broń, ognia — zakomenderowałem. —

Przez kilkanaście długich chwil trwa strzelanina, a żołnierze nad podziw trzymają się dzielnie i zdenerwowanie znikło z twarzy moich zuchów.

Sierżant Władysław Chmielewski, dokonuje cudów waleczności i dzielnie mi pomaga.

Widzimy, jak padają ludzie i konie... Straszne spustoszenie powoduje ogień kompanji 3-ciej w szeregach bolszewickich i w pewnym momencie resztki jazdy uciekają w panice. Bolszewicy rozbici... Z ust żołnierzy wyrywa się okrzyk: „hurra" i pędzimy uciekających nieprzyjaciół (rezerwowe kolumny jazdy) na wieś Janki, ratując od niewoli kpt. Kleina z 4 p. p. Leg.

Mam zabitych i rannych w kompanji, których odsyłam na tyły.

Wtem nowa niespodzianka... Sanitarjusz kompanijny Witczak melduje mi, że bolszewicy znajdują się na naszych tyłach i sam widział Kozaków.

Pozostawiwszy sierżanta Chmielewskiego udaję się z sanitarjuszem, aby osobiście sprawdzić nasze położenie.

O dziwo! Kiedy my zwycięsko zwalczamy wroga, na tyłach masy kawalerji uganiają się po polach i chwytają do niewoli pojedyńczych żołnierzy, grupy

zaś, odstrzeliwując się skutecznym ogniem, cofają się bez zbytniego pośpiechu.

Zarządziłem odwrót kompanji, wysyłając do sierżanta Chmielewskiego sanitarjusza Witczaka z rozkazem.

Kompanja się cofa. Bolszewicy podjeżdżają do kompanji na odległość najwyżej 150 kroków kolumną i widzimy jak wyciągnięte szable rzucają na nas srebrne, groźne blaski...

Uszykowani jesteśmy w czworobok, w środku którego znajdują się ranni i pozostawione przez oddziały 4 p. p. Leg. karabiny maszynowe. Bolszewicy onieśmieleni stanowiskiem naszej kompanji zatrzymują się i krzyczą: „zdajsia."

— Ognia — zakomenderowałem i przedpole w jednej chwili zostało oczyszczone od nieprzyjaciela.

Powoli wycofujemy się z ognia nieprzyjacielskiego i marszem ubezpieczonym udajemy się w kierunku na miejscowość Strzelce w sile około 200 ludzi i kilku oficerów z innych oddziałów, a między innymi i por. Greszel z 2 kompanji.

Jestem tego dnia zadowolony bardzo z Władka Chmielewskiego, który pokazał, że nietylko jest dobrym żołnierzem, ale i przyjacielem.

Akcja pod Hrubieszowem kosztowała mnie dużo wysiłków i, kto wie, gdyby nie Chmielewski i jego ofiarna współpraca w czasie samej walki, czy wyszedłbym żywy z całej tej opresji.

W każdym bądź razie kompanja 3-cia przyczyniła się do umożliwienia wycofania oddziałów 4 p. p. Leg., wobec przeważających sił bolszewickiej jazdy w składzie całej armji Budiennego, cofającej się z nad Zbrucza.

Widać było doskonale w czasie walki, jak chmary

bolszewickiej jazdy w pełnym galopie znikały za domami miasta Hrubieszowa, przechodząc rz. Bug.

Zapada powoli noc... W świetle księżyca widać pod m. Strzelcami niezwykły ruch na placówkach, które nas zauważyły i śledzą...

Wysłałem dwóch żołnierzy naprzód, gdyż przyszła mi myśl, że po całodziennej „harataninie" placówki nasze mogą nas wziąść za bolszewików i obstrzelać...

Kompanja przez chwilę spoczywa, leżąc na piasku., poczem wyłania się sylwetka z ciemności i jeden z żołnierzy melduje, że placówki już powiadomione o naszej obecności. Ruszamy.

Zmęczeni dotarliśmy do miejscowości Strzelce, gdzie zastaliśmy cały pułk i... kwatery.

Moszna.

Transportami pułk nasz przybył do Białegostoku, skąd maszerujemy do miejscowości Kwatery. W drodze dzielimy się z kolegami wrażeniami z przeżyć w Zamościu... Humor tryska. Nie dochodząc do Kwater dowiedziałem się, że 24 p. p. otrzymał rozkaz wykonania natarcia na las Siemieniówkę, Mosznę i Snopki.

W tym samym czasie dowódca pułku wydał rozkazy posuwania się marszem ubezpieczonym. Idziemy z prawdziwie kocią ostrożnością, gdyż, w miarę zbliżania się do Kwater, słyszymy, że walka wre w całej pełni.

4 p. p. Leg. krwawi się już cały dzień. Pozycje przechodzą z rąk do rąk wśród zaciętych walk. Na każdym niemal kroku spotykamy trupy bolszewików, rzadziej naszych żołnierzy. Ranni znajdują opiekę w chwilowo urządzonym lazarecie przez lekarza 4 p. p. Leg.

Dowódca baonu por. Żółkiewski przed rozpoczęciem akcji zapoznał nas z położeniem własnych oddziałów i wrogich, wyznaczywszy kompanję 3-cią, jako tą, która ma przeprowadzić główne zadanie.

Po odprawie dowódców kompanij nastąpił krótki odpoczynek, który wykorzystałem w ten sposób, że udałem się do oficerów 4 p. p. Leg. i od nich do-

wiedziałem się bliższych szczegółów, dotyczących zarówno terenu, jak i nieprzyjaciela.

Otrzymawszy tak cenne wiadomości, gdyż 4 p. p. Leg. wcześniej od nas zapoznał się z terenem, przygotowałem plan akcji i powróciłem do kompanji.

Czas rozpoczęcia akcji nadszedł. Kompanja 3-cia rusza powoli i podchodzi pod las. Szperacze odkryli w lesie czujki bolszewickie i zatrzymawszy kompanję, zalecając bezwzględną ciszę, udaję się ze szperaczami, by obejrzeć miejsce gdzie znajdują się czujki nieprzyjacielskie.

Po upływie krótkiej chwili widzę dwóch bolszewików, rozmających swobodnie ze sobą i nie przeczuwających, że znajdujemy się w odległości kilkudziesięciu kroków, że grozi im niebezpieczeństwo..

Zostawiam szperaczy, sam zaś, zachowując środki ostrożności, wracam, by za chwilę wydać rozkaz wykonania skoku w dwuch linjach i, zabrawszy czujki do niewoli, pędzić uciekające placówki nieprzyjacielskie, które dotychczas nie były dla nas widoczne, gdyż gęsty las utrudniał wgląd.

Artylerja nasza zaczyna ostrzeliwać pozycje nieprzyjacielskie i robi „piekło", jak mówią moi żołnierze.

W kompanji mam dwa karabiny maszynowe ręczne Chauchard'a i jeden ciężki.

Podczas ataku na Mosznę miałem możność ocenić wartość ręcznych karabinów maszynowych i nabrałem do nich zaufania.

Od kilku tygodni jestem chory na dyzynterję, ale szkoda mi opuścić wiary po tylu przebytych wspólnie trudach i dlatego pozostaję nadal na froncie. Życie wojenne ma swój urok, a wspólna praca zbliża ludzi i tworzy nierozerwalne węzły przyjaźni.

Tak też było i ze mną. Pokochałem wiarę i na wzajem byłem lubiany, więc szkoda mi oderwać się od tych dzielnych ludzi w chwili, która może przynieść wiele niespodzianek i kto wie jakie następstwa.

Honor kompanji i mój tak dziwnie łączyłem, że zdawało mi się, że jest to jedna całość...

Dowódca Stanisław Kalabiński zatrzymał się ze sztabem pułku koło baterji, a tymczasem ja z kompanją w pełnym biegu wpadam za uciekającemi placówkami na pierwsze pozycje bolszewickie.

Ręczne karabiny maszynowe cały czas przy pracy. Robi to wrażenie, jak gdyby istny ogień piekielny był użyty przez nas do zniszczenia bolszewików...

Jestem zachwycony działaniem „erkaemów", gdyż wywołują pożądany efekt.

Bolszewicy pod naszym naporem co raz to słabiej strzelają... Biegniemy ile tylko sił starczy, byleby prędzej wedrzeć się na wzgórze.

Nie zdołano zmienić celownika, gdy my przez ogień własnej artylerji, porwani szałem walki wpadamy na wzgórze i nie dajemy się „mochom" zatrzymać.

Pyszny widok rozpościera się przed nami... Na tle malowniczego krajobrazu, jak stada olbrzymie baranów, uciekają bolszewicy... Całe morze głów...

Żołnierze 3-ciej kompanji strzelają stojąc, jak gdyby byli na zwykłych ćwiczeniach, gdzie strzela się do martwych celów i nie grozi żadne niebezpieczeństwo... Spojrzałem za siebie i widzę, jak pod lasem rozwijają się kompanje naszego pułku.

Nagle stwarza się sytuacja bardzo krytyczna: w odległości mniej więcej jednego kilometra spieszą z pomocą kompanje naszego pułku, a przed nami bolszewicy wsparci świeżemi siłami idą do kontrataku,

na lewem skrzydle kompanji 3-ciej wyłania się z za wzgórza nowy nieprzyjaciel, ale odległość na szczęście jest conajmniej 800 metrów i byleby udało się odeprzeć frontowy kontratak, sytuacja będzie uratowana, gdyż w tym czasie spodziewam się, że nadejdzie pomoc...

„Erkaemy" i ciężki karabin maszynowy warczą.. Zauważyłem zdenerwowanie u żołnierzy, gdyż zdają sobie sprawę z tego, że sytuacja jest niezwykle ciężka...

W pewnym momencie „Maksym" się zacina... Wściekam się na obsługę, która zdradza chęć ucieczki i wprowadza zamieszanie, lecz po chwili przy pomocy Władka Chmielewskiego udaje mi się przywrócić porządek.

Sierżant Chmielewski za swą uczciwą pracę został po walkach pod Hrubieszowem podany przezemie na stopień podporucznika.

Obsługa ciężkiego karabinu maszynowego pozostaje nadal w linji, a kompanja wzmacnia rozpoczęty ogień, który już w pewnym momencie zaczął słabnąć...

Ciężka i odpowiedzialna jest rola oficera w podobnych wypadkach, które następują po sobie błyskawicznie i częstokroć drobne fakty mogą przyczynić się do zwycięstwa, dlatego też postanowiłem niezłomnie wykorzystać moment psychicznego załamania się u przeciwnika, (widząc, że atak bolszewicki w ogniu naszych karabinów zaczyna słabnąc), porwać ludzi i z okrzykiem: „hurra", i rzucić się na nieprzyjaciela.

Jak przewidywałem, bolszewicy nie wytrzymali i zaczynają zmykać z całych sił, natarcie zaś na lewe skrzydło kompanji trwa dalej. Oczyściwszy przedpole

zmieniam front kompanji na chwilę i ogień karabinowy uwalnia nas od drugiego przeciwnika.

Należy jednak wykorzystać obecną sytuację i nie pozwolić przeciwnikowi do powtórnego zorganizowania przeciwnatarcia.

Gorączka walki dochodzi do punktu kulminacyjnego: nikt nie myśli o zmęczeniu, zapał tryska z oczu żołnierzy, a ja zapomniałem o chorobie, która nie należy do rzędu przyjemnych, zaś szczególnie w tych okolicznościach wyczerpuje siły w dwójnasób.

Pędzimy nieprzyjaciela przez Mosznę, wieczorem zajmujemy Snopki, w nocy dołączyliśmy się do pułku, docierając do miejscowości Szyłowicze.

Obserwując przebieg walki, major Kalabiński, dowódca pułku, zostaje lekko ranny, lecz nie opuszcza linji.

Zwycięstwo w przerwaniu frontu pod Moszną dało nam w rezultacie wielu jeńców, karabiny maszynowe i konia kozackiego, którego przyprowadził kapral Polakowski.

Po bitwie tej zostałem podany do odznaczenia orderem „Virtuti Militari".

Mam w kompanji dość duże straty w rannych, a na szczęście ani jednego zabitego...

Wilejka.

Znów nastąpiły forsowne marsze, krótkie postoje, celem spożycia posiłku, noclegi pod gołem niebem lub chałupach i stodołach aż do dnia 10. X, to jest do chwili, kiedy silne patrole naszego pułku stwierdziły, że nieprzyjaciel postanowił bronić Wilejki i obsadził mosty na rzece Wilji.

Tropimy bolszewików i wśród walk stopniowo zbliżamy się do Wilejki...

Baon I/24 p. p. o świcie w dniu 13. X zajmuje mosty na rzece Wilji i przy pomocy baterji artylerji obsadza pozycje w Gunnach, by stąd przypuścić atak na miasto.

Porucznik Żółkiewski, dowódca baonu rzuca dwie kompanje w pierwszej linji, pozostawiając kompanję 2 por. Nowaka w rezerwie. W pierwszej linji uderza na nieprzyjaciela kompanja I z ppor. Mikołajem Kosińskim, 3 zaś ja dowodzę.

Bój wre w całej pełni... Bolszewicy mają pociąg pancerny, który skutecznie współdziała z nieprzyjacielską piechotą i utrudnia nam zajęcie miasta.

Major Kalabiński ze sztabem pułku cały czas pozostaje w linji.

Kompanja pierwsza przeprawia się na drugą stronę Wilji. Przychodzi kolej na moją kompanję. Pociski artylerji bolszewickiej prują powietrze, a trzask karabinów z każdą chwilą wzrasta na sile...

Widzę, jak rozrywają się pociski nad mostem, który jest przed nami i snopy wody po każdym wybuchu ukazują się na rzece.

Doprowadziłem kompanję na skraj lasku, od strony południowej, między torem kolejowem a rzeką Wilją.

Pancerka bolszewicka wzmacnia obstrzał mostu. Kompanja trzecia uszykowana w czwórkach, czeka na rozkaz. Krótka decyzja i biegiem w czwórkach wśród ognia artyleryjskiego i karabinowego, pędzimy przez most, jakgdyby to były czasy, kiedy nie znano jeszcze szyku luźnego...

Na lewem skrzydle słychać strzały. Kompanja I-sza rusza do ataku. Prawie równocześnie zajmujemy Wilejkę z kompanją pierwszą, choć najgroźniejszy przeciwnik-pancerka bije w nas kartaczami...

Dotychczas strat żadnych nie mam w kompanji. Pancerka dokucza nam w staszliwy sposób, zarzucając pociskami całą Wilejkę i wzniecając pożary w wielu miejscach... Widać, jak na dłoni, idących bolszewików do przeciwnatarcia...

Wysyłam jeden pluton 3 kompanji z zadaniem wykonania manewru, celem zajęcia tyłów pancerki i rozkręcenia szyn. Pluton, kryjąc się za chałupami posuwa nię naprzód, kiedy reszta kompanji zwalcza skutecznie ogniem karabinowym natarcie przeciwnika.

Ruch plutonu, zdaje się, zauważono, gdyż pancerka zaczyna stopniowo oddalać się, strzelając z dział coraz rzadziej...

Przeciwnatarcie załamuje się... Kompanje pierwszej linji posuwają się naprzód, a cały ogień plutonu, wykonywającego manewr, skoncentrowany jest na pancerce.

Bolszewicy uciekają... Pod wieczór tego dnia wszystko na froncie ucichło.

W ręce nasze dostało się wiele matrjału wojennego i jeńców.

W kilka dni potem nastąpiło zawieszenie broni, a było to dnia 18.X — 1920 r.

Bitwa pod Wilejką kończy działania wojenne 24 p. p. a wszyscy oficerowie i żołnierze otrzymują w rozkazie 2 dywizji piechoty, liczba 77 słowa uznania za dzielność i wytrzymałość w marszach i walce.

BIBLIOTEKA
PARAFIA PW. NSJ
RADOM-GLINICE
101

Na pograniczu litewskiem.

W dwa tygodnie po zawieszeniu broni 24 p. p. a więc i kompanja trzecia szlakiem Wilejka — Bogdanów — Lida — Skidel — Grodno — Augustów przechodzi do Suwałk.

Z chwilą przybycia do Suwałk zostajemy zakwaterowani w wygodnych koszarach, które w spadku pozostały po jednym z dawnych pułków cara moskiewskiego.

Ludność miasta powitała nasz pułk nadzwyczaj serdecznie, a okrzykom radości nie było końca...

Kontakt ze społeczeństwem nawiązany został i zaraz na samym początku taki serdeczny...

Przebyte trudy wojenne niewątpliwie wyryły głębokie ślady na wszystkich żołnierzach i słusznie należy nam się wypoczynek. To też każdy z nas stara się na swój sposób wykorzystać wolny czas od służby.

Niedługo jednak kompanja trzecia mogła korzystać z radości życia miejsk ;o, gdyż pewnego dnia nadszedł rozkaz z dowództwa baonu, abyśmy wyruszyli na pogranicze pełnić służbę kordonową na linji Szipliszki — Szlinokiemje.

W nocy, po wydaniu żołniorzom amunicji, cicho wymaszerowaliśmy z miasta by czuwać nad bezpieczeństwem i spokojem, ponieważ w tym czasie bandy partyzantów litewskich niepokoiły spokojnych obywateli, mieszkających w pasie demarkacyjnym.

Znów zaczęło się życie pełne niespodzianek, alarmów nocnych i przygód żołnierskiech. Wystawianie placówek. patrolowanie przedpola, utrzymanie łączności z sąsiednimi oddziałami i ciągłe ostre pogotowia trwały aż do chwili, dopóki nie zmieniła nas inna kompanja.

Z band dywersyjnych szczególnie dokuczała nam grupa partyzantów Krzywonosa, która po jednej z ostatnich nauczek, jaką jej daliśmy przycichła i przez cały czas pobytu w Suwałkach już nie słyszałem wcale o jej działaniach.

Od tego czasu zaczęła się praca pokojowa nad szkoleniem szeregowych i oficerów według nowych wymagań, gdyż w armji nastąpiła reorganizacja i ujednostajnienie służby według opracowanego planu przez sztab generalny.

24 p. p. w czasie postoju w Suwałkach zdobył uznanie całego miejscowego społeczeństwa, które ofiarowało mu chorągiew pułkową.

Virtuti Militari.

Pewnego dnia z rozkazu dowódcy brygady pułkownika Śmorawińskiego pułki 4 i 24, wchodzące w skład IV brygady 2 dywizji legjonowej stanęły na rynku, gdzie przybył na uroczystość wręczenia orderów „Virtuti Militari" zasłużonym w służbie ofiarnej dla Ojczyzny szeregowcom, podoficerom i oficerom, specjalny wysłannik Naczelnego Wodza Marszałka Józefa Piłsudskiego.

Pułki uszykowały się w czworobok a pośrodku stanęli ci, których udekorują w imieniu Naczelnego Wodza.

Było nas siedmiu. Na prawym skrzydle wyróżniała się poważna postać pułkownika Smorawińskiego, obok którego stanąłem, dalej podporucznik Łomnicki, podchorąży Fuglewicz i inni.

Przy dźwiękach orkiestr obu pułków rozpoczęła się ceremonja dekorowania.

Moment był nadzwyczaj uroczysty, kiedy dowódca 2 dywizji legjonowej przemówił do żołnierzy IV brygady i wspomniał o przebytych bojach. Oczy żołnierzy zaiskrzyły się, komendy padały ostro, a wysłannik Naczelnego Wodza wśród podniosłego nastroju przypiął pierwszemu z szeregu dowódcy IV brygady pułkownikowi Smorawińskiemu order, później na moich piersiach zawisł zkolei i tak, aż do ostatniego z dekorowanych.

Krótki uścisk dłoni i ucałowania wzajemne zakończyły ceremonję. Następnie przed dekorowanymi odbyła się defilada, a wspólny obiad w kasynie 4 pułku piechoty legjonowej, podczas którego wznoszono toasty i wygłaszano mowy żołnierskie, nacechowane przywiązaniem do kraju, gotowością bronienia niepodległości, wywalczonej krwią, ranami i potem trudów żołnierza polskiego, jeszcze bardziej podniosły uroczystość tego dnia.

Byłem dumny z nadania mi orderu, ale myśl, kiedy wróciłem do kwatery, pobiegła daleko hen, tam, gdzie legli wierni towarzysze broni. Nie sądzone im było doczekać tej chwili, aby mogli wspólnie ze mną cieszyć się tym dniem uroczystym.

Przed oczyma wyobraźni ukazały mi się bitwy pod Kuklami, Kamieniuchą, Wołczynem, Sobieszczycami, obrazy zaciętych walk nad Dźwiną i Berezyną, marsze i niewygody życia żołnierskiego odżyły a polegli nabrali znów życia. Zdawało mi się, że dzielę z nimi radość... A jednak... w tej chwili, kiedy uprzytomniłem sobie, że oni odeszli w zaświaty i nigdy już nie powrócą, zrobiło mi się smutno i bolesny żal zatargał mą duszą...

Tyle krwi, tyle męk i trudów kosztowała niepodległość Polski, tyle młodzieży padło w obronie praw Rzeczypospolitej, a czy społeczeństwo, rozbite na partje, zrozumie to kiedy? Czy doceni wysiłek nadludzki żołnierza? Czy pójdzie za Tym, który wszystko dla Polski poświęcił i dopomoże Marszałkowi Piłsudskiemu do kontynuowania odbudowy gospodarczej i politycznej kraju?

Rozmyślając, przyszedłem do przekonania, że przed Nową Polską ścieli się piękna karta historji, gdyż w walce o lepsze Jutro Marszałkowi pomogą

wierni żołnierze, którzy za kika dni, czy też tygodni, opuszczą szeregi wojska i powrócą pod strzechy rodzinne, by opowiedzieć o przebytych bojach, o Wodzu, a przecież społeczeństwo nasze nie jest takie złe i, prędzej czy później, piętno niewoli przy wspólnej chęci można będzie wykorzenić i spokojną pracą dalej umacniać zdobytą niepodległość.

01285

BIBLIOTEKA
PARAFIA PW. NSJ
RADOM-GLINICE

Treść.

	str.
Od autora	7
1905 Rok	9
Niespodzianka Nocy	12
Wywożą ich na Sibir	16
Pierwsze wiadomości	18
W szkole	20
Smutne i wesołe	23
Przed więzieniem	26
Związek Młodzieży Niepodległościowej w Radomiu	29
IV Baon I Brygady	32
Ożywczy powiew	35
Manifestacja	38
12 października 1918 roku	43
Opoczno	52
Rozkaz	57
Na odcinku bojowym	62
30 stycznia 1919 roku	63
Front Białorusko-Litewski	70
Kowalewo	72
Marsz w Kierunku Dźwiny	75
Kompanja 3 w odwrocie	82
Sokółka	86
Stare lwy i młodzi bohaterowie	91
Nocny wypad na Matcze	93
Zamość	96
Odwrót	97
Hrubieszów	100
Moszna	104
Wilejka	109
Na pograniczu litewskiem	112
Virtuti Militari	114

Omyłki drukarskie.
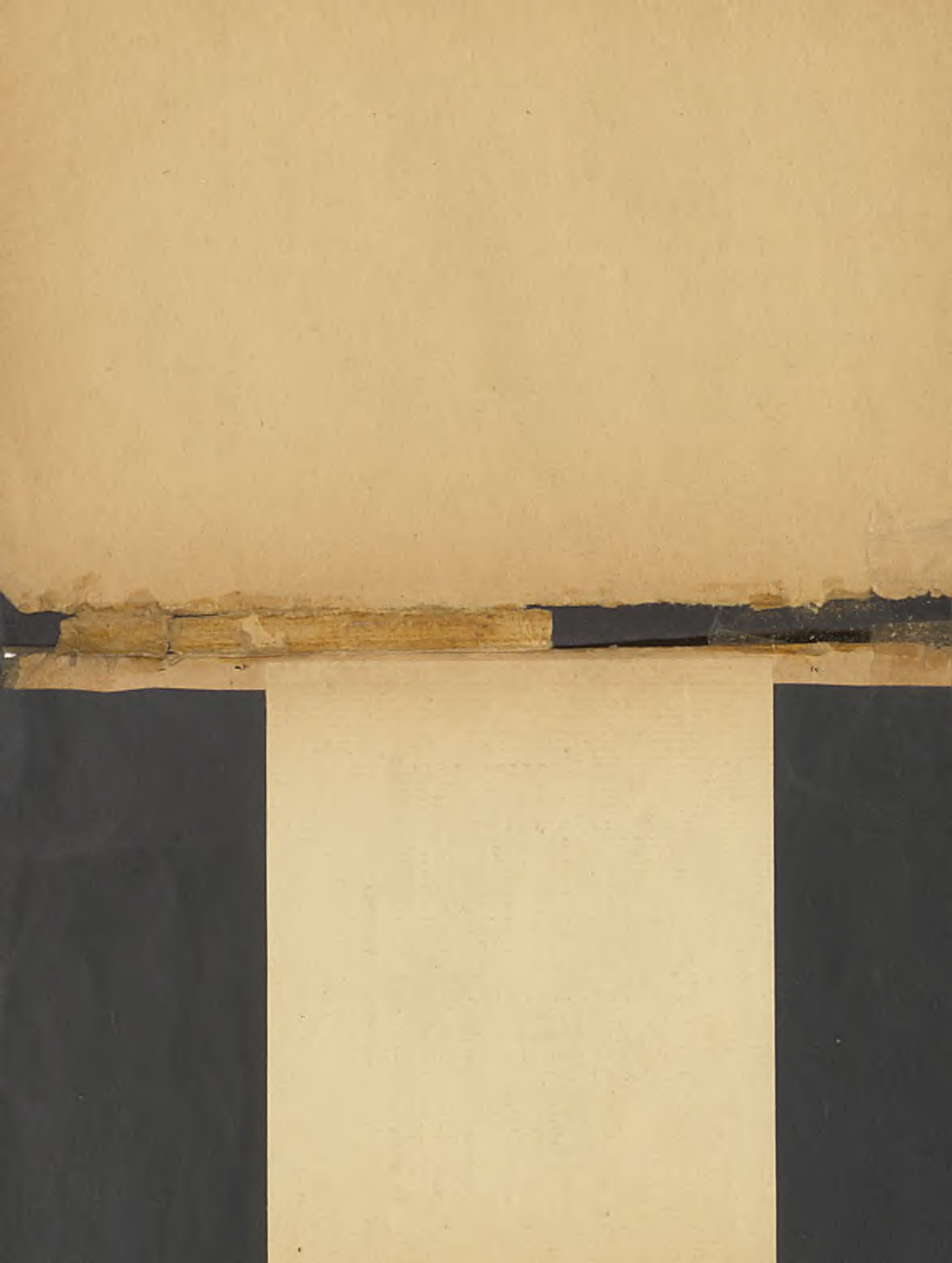
Str.	17	— przyszłości
„	22	— podchodzi
„	25	— cerata
„	27	— Białobrzeg
„	30	— Długiej
„	32	— Badowskim
„	34	— spotkałem
„	36	— hoch
„	40	— skonstatowaliśmy
„	46	— dwuch
„	48	— pod ręką a właściwie w rękawie — w miarę zbliżania się
„	49	— poduszkę
„	52	— miejscowymi, społecznymi, sposób, rekwizycję
Str.	55	— opoczyńskim, (2 r.)
„	63	— ogniu, Czechów
„	67	— naszym
„	68	— podziękował, nadarzy, pójdę
„	70	— Front Białorusko-Litewski
„	73	— zagłusza
„	77	— kompana
„	80	— pozycji
„	86	— zatrzymałem
„	88	— wewnętrzna
„	89	— kozaków
„	93	— kompanij
„	94	— melduje
„	101	— kozaków
„	105	— dwuch